NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Prenumeratę przyjmuje W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie: za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. Kraków, 1 sierpnia 1914. Nr. 31.

Pierwsze strzały.

(Treść na str 2).



Pierwsze strzały.

(Do illustracyi tytułowej).

Gromadzące się od lat chmury na południu monarchii austryacko-węgierskiej — rozerwane ostatnio błyskawicami strzałów do arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, musiały sprowadzić oczekiwaną burzę. Stanowisko mocarstwowe Austryi, wyniki śledztwa po zamachu serajewskim, ogólny nastrój w państwie i wiele innych pośrednich powodów przyczyniły się do energicznego wystąpienia monarchii przeciw Serbii. Zatarg z Serbią ciągnie się niezmiernie długo, przeszedł wszystkie fazy podobnych konfliktów, w którym, trzeba przyznać, Austro-Węgry więcej okazywały spokoju i powściągliwości w wyciąganiu ostatnich kart podobnego stanu, tj. wojny. W obecnych czasach przymierz, sojuszów, porozumień, wojna przestała być starciem dwóch państw, zwłaszcza w Europie i stąd unikanie jej i łagodzenie sporów do możliwych granic przez dyplomacyę i interwencye sąsiadów. A jednak są momenty, gdy wypadki wykluczają inne załatwienie konfliktów, jak z bronią w ręku i takiego właśnie ułożenia się stanu rzeczy jesteśmy świadkami. Stanowcza nota Austryi, która zalektryzowała Europę swym tonem, wyjaśnia



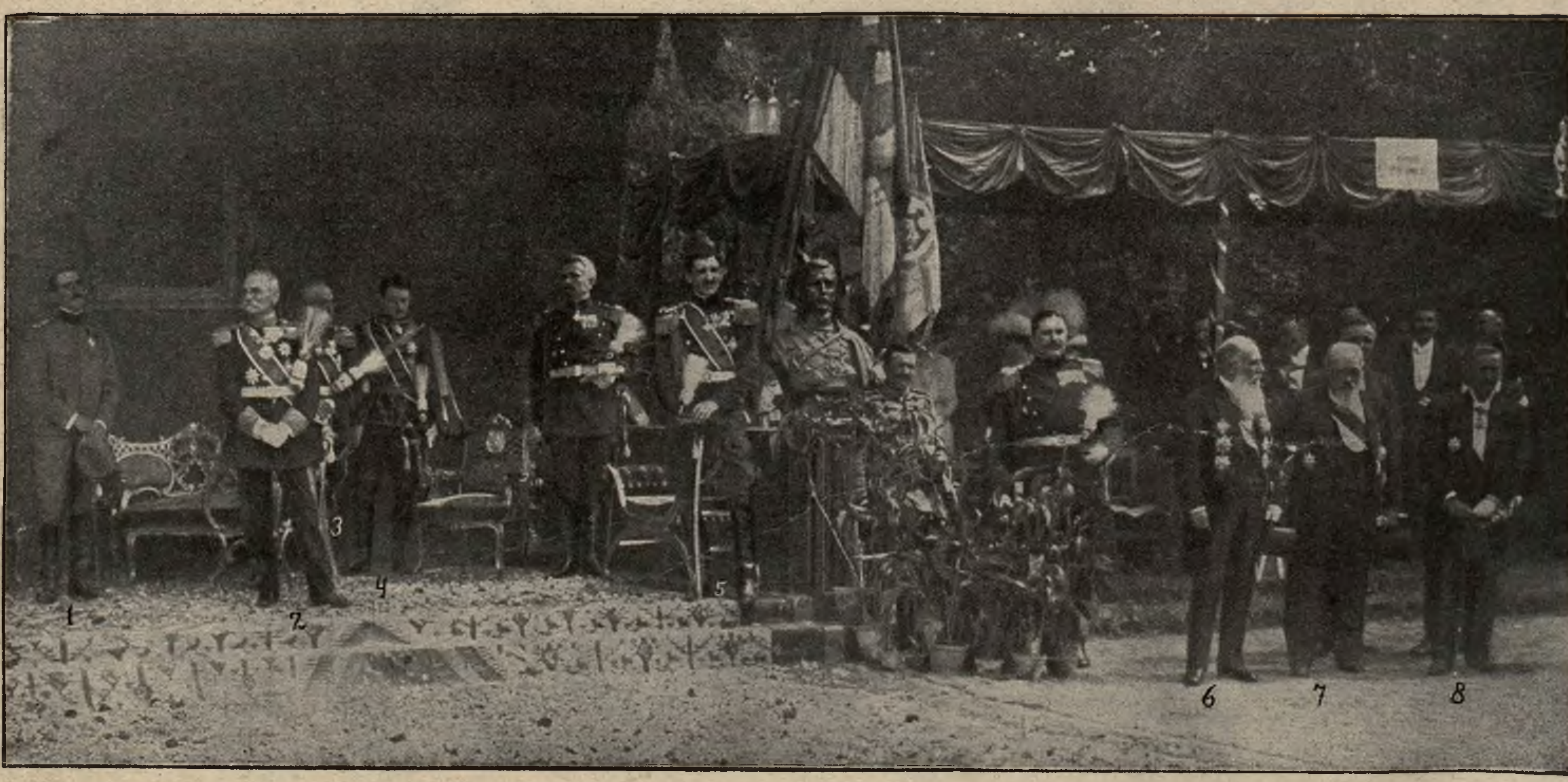
Pierwsze strzały: Patrol austryacki na pograniczu Serbii.



Pierwsze strzały: Widok Belgradu od strony Zemunia



Pierwsze strzały: Po wymarszu wojsk, mieszkańcy pospiesznie opuszczają Belgrad.



Pierwsze strzały: Dwór serbski i gabinet przed opuszczeniem Belgradu: 1) Następca tronu ks. Aleksander, 2) król Piotr, 3) ks. Arsen, 4) ks. Paweł, 5) ks. Jerzy. 6) Pasicz, 7) minister Paczu, 8) Jowanowicz.

jednocześnie w swej treści powody swego powstania i zawartych w niej żądań. Jak się w śledzwie okazało, cała irrydenta Bośni, ciągły w niej ferment narodowy i polityczny, a wreszcie inicyatywa, plan i wykonanie



Widmo wojny europejskiej: Arcyksiążę Fryderyk domniemany generalissimus armii Austro-Węgier.

zamachu na następcę tronu austryackiego miały swe źródło w Serbii. Przeciw temu zaoponowała stanowczo Austrya i w odpowiedzi otrzymała niedostateczne wyjaśnienia i wymijające obietnice. Skutkiem tego było zerwanie stosunków międzypaństwowych, przygotowanie się obu stron do wojny. Gorączkowo je podjęła Serbia, podobno jeszcze przed daniem odpowiedzi na notę, i z jej też strony pierwsze padły strzały. Jak donosi miarodajne biuro korespondencyjne koło Temes Kubin wojsko serbskie, które znajdowało się na parowcach Dunajowych, ostrzeliwało austryackie wojsko, które odpowiedziało na ogień. (Temes Kubin jest to miasteczko, leżące na lewym brzegu Dunaju prawie naprzeciw ujścia do niego rzeki Morawy.)

Nasza tytułowa illustracya przedstawia właśnie to pierwsze starcie.

Jubileusz działacza śląskiego.

(Do illustracyi na str. 8).

Polska ludność katolicka Śląska Cieszyńskiego obchodziła w tych dniach jubileusz ćwierćwiecza kapłaństwa ks. Józefa Londzina, znanego działacza społecznego, profesora gimnazyum polskiego w Cieszynie, przywódcy śląskiego stronnictwa katolicko-narodowego i posła do Rady państwa. Ks. Józef Londzin urodził się w r. 1863 w Zabrzegu, wsi pod Dziedzicami, w powiecie bielskim położonej, jako syn ś. p. Józefa współtwórcy ruchu narodowego Śląska i „Tygodnika Cieszyńskiego", zamienionego później na „Gwiazdkę Cieszyńską". Wyświęcony na kapłana, ks. Józef Londzin śladami swego



Widmo wojny europejskiej: Minister spraw zagranicznych monarchii austr.-węgr., hr. Leopold Berchtold.

ojca wstąpił bezzwłocznie w szeregi społeczno narodowych działaczy, grupujących się po śmierci Stalmacha koło ks. Ignacego Swieżego, gdzie zaraz intenzywną pracą i ruchliwością, zapałem i poświęceniem dla sprawy publicznej, oraz wielką osobistą ofiarnością, wysunął się na jedno z miejsc naczelnych. Jako prezes „Macierzy" cały swój zapał i pracę jej poświęcił będąc jednocześnie profesorem.

Po za „Macierzą" i murami gimnazyum polskiego



Widmo wojny europejskiej: Komendant korpusu krakowskiego jenerał Böhm-Ermolli, wódz armii austryackiej przeciw Serbii.

ks. Jubilat pracuje intensywnie na polu dziennikarskiem, redagując tygodnik „Gwiazdkę Cieszyńską", którą z biegiem lat rozwinął, zamienił na pismo dwa razy w tygodniu wychodzące i najpoczytniejsze na Śląsku.

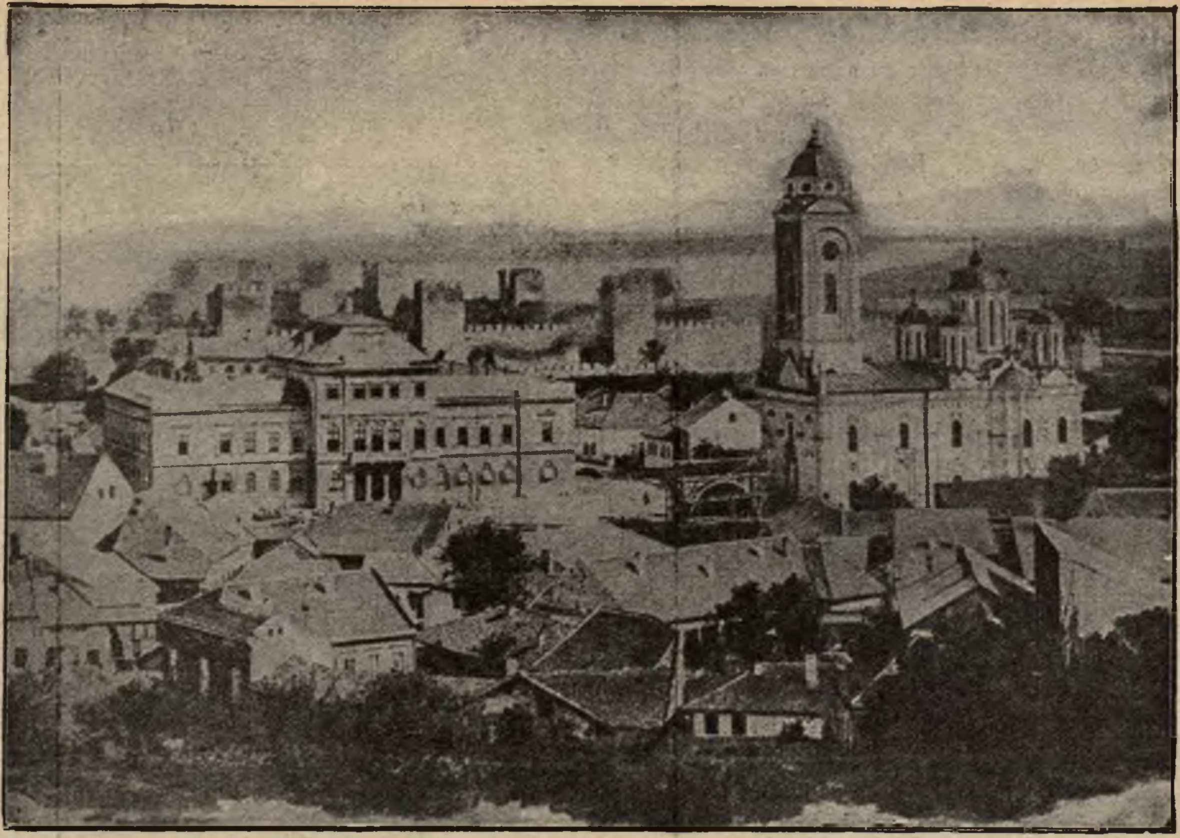
W r. 1907 wszedł ks. Londzin do Rady państwa, wybrany posłem w okręgu bielskim. Ponownie znaczną większością wybrany został w roku 1911. Tak w życiu jak i w parlamencie zaznaczył się ksiądz poseł jako energiczny i nieugięty obrońca praw ludu śląskiego.

Proces ministrowej Caillaux.

Historyczny gmach La Conciergerie w Paryżu jest obecnie stale w oblężeniu — w olbrzymiej jego



Widmo wojny europejskiej: Przedstawiciele wszystkich rodzajów broni armii austryackiej.



Pierwsze strzały: Twierdza Semendria, główna kwatera serbska.

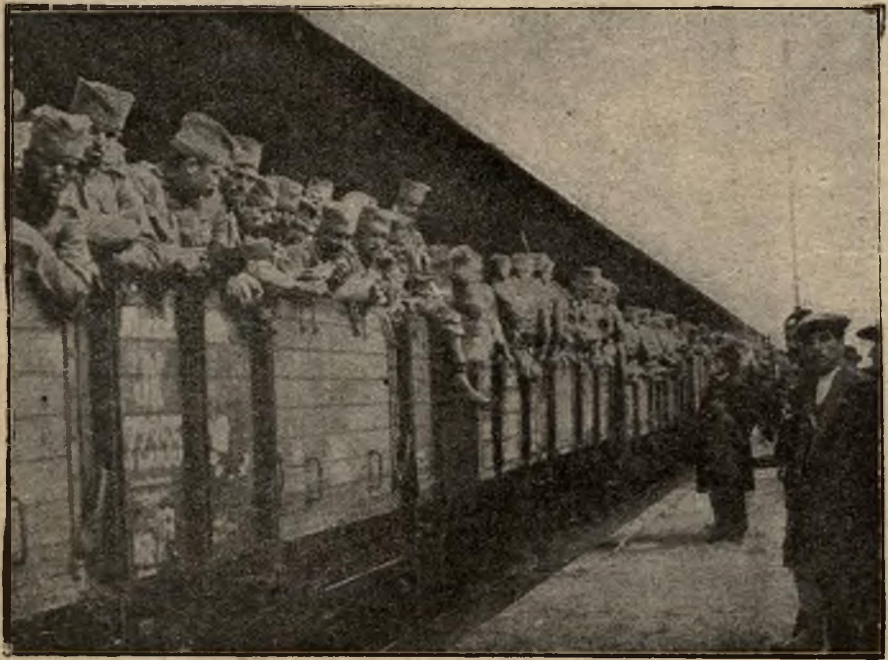
sali posiedzeń trybunału Sekwany rozgrywa się epi log afery ministra Caillaux i kończących ją tragicznie strzałów żony ministra do redaktora Calmette. Zainteresowanie tym sensacyjnym procesem jest wielkie — cały Paryż nim tylko żyje. Co powiedział obrońca adwokat Labori? — jak zachowuje się oskarżona? — oto tematy dnia roztrząsane przed innymi. Rozprawy są rzeczywiście interesujące, tło bowiem ich tworzy polityczna kompromitacya ministra Caillaux — jaką zapoczątkowało i przeprowadzało „Figaro“ — a z których to zarzutów chce on obecnie oczyścić się przed przysięgłymi. Sam fakt zbrodni prosty jest: żona człowieka niekorzystnie oświetlanego w prasie i pośrednio sama w tych rewelacyach dysfamowana, usiłuje zemścić się na sprawcy tego — redaktorze i autorze całej kampanii. Złą, lub dobrą wiarę ma wykazać rozprawa, w kierunku korzystnym pomagać jej będzie świetny obrońca, adwokat Labori, wobec znanej łagodności sądów francuskich dla kobiet i do tego... ładnych — a taką ma być ministrowa Caillaux (jak zdołają przekonać się Czytelnicy z naszej illustracyi) — to też wiele danych przemawia za tem, że oskarżona wyjdzie obronną ręką — może nie zupełnie wolna, lecz łagodnie ukarana. Nawskróś materyalistyczne społeczeństwo francuskie nawet nie reaguje odpowiednio na ten skandal — bo tym jest sprawa min. Caillaux, któremu zarzucano przedajność i zdradę. Inne zagadnienia — natury ogólno-politycznej odsunęły z uwagi Czytelników ten proces — a szkoda, bo w swej genezie, osnowie i przebiegu charakteryzuje on doskonale współczesną Francyę... tak daleką od Napoleońskiej.



Pierwsze strzały: W drodze na plac boju.



Widmo wojny europejskiej: Król serbski Piotr.





Mobilizacya w Serbii. **Pierwsze strzały:** Rezerwiści serbscy przed koszarami w Niszu.

Artur Gruszecki.

Po ślubie.

9

— Ja też nie myślę wyjeżdżać, — zaśmiał się zadowolony Winecki.

— Ani ja! — potwierdził Orszycki.

— A wiecie wy, co powiem? — poprawił binokle Szabelski, — od czasu, do czasu, tak, na dzień, na dwa, dobrzeby było wyrwać się z tych murów w pole.

— To się rozumie, — pospieszył prezes, — tak na Bielany... na Skały Panieńskie... wziąć ze sobą pilznera, jedzenie, to nawet dobrze robi.

Orszycki przez chwilę wpatrywał się w Wineckiego, wreszcie zagadnął:

— Panie budowniczy, a dokąd wyśle pan żonę?

— Mówiłem, że nie wiem... Zapytam się, wywiem, i dopiero zdecyduję.

— Hm... a jeśli tam nie dostanie na wsi ani mięsa, ani bułek, ani piwa... jakże wysyłać żonę? dziecko? — zrobił uwagę Szabelski.

— A czy ja Herod? — zaśmiał się Winecki, — przecież nie myślę ogłodzić żony, ale żadnych zabaw, tańców, muzyki, strojów... Kiecka z perkalu wystarcza.

— To dobry pomysł, — rzekł z uznaniem Orszycki, — i jak tylko pan budowniczy dowie się o takiej wsi, proszę mi dać wiadomość... Kto wie, czy i mojej żony tam nie wyślę.

W czasie tej rozmowy zbliżył się do stołu niewyraźny blondyn, z twarzą podłużną, żółtawą, pomiętą, z wąsem przyciętym, z włosami konopianemi, starannie przyczesanemi. Był to pan Merczak, właściciel jednego z pierwszorzędnych zakładów krawieckich. Ubrany był z wyszukaną elegancyą. Kłaniał się siedzącym przy stole cedząc słówka:

— Moje uszanowanie panu radcy, — kłaniał się Szabelskiemu, — sługa pana prezesa, — ukłonił się nizko.

Prezes spojrzał łaskawie na krawca i rzekł protekcyonalnie:

— Siadaj pan, panie Merczak. Cóż tam w interesie?

— Jak zwykle, panie prezesie, roboty dużo, pieniędzy mało, — odpowiedział z ukłonem, zbadał czystość krzesła, otarł je chusteczką i siadł, wdzięcząc się do zebranych przy stole.

— Jasiu, daj i mnie znać, — zwrócił się Szabelski do Wineckiego, — gdybyś znalazł podobną wieś.

— Darują panowie, — cedził słówka Merczak, co mu się wydawało wysoce arystokratycznem, — że domyślam się, iż macie zamiar wyjechać na świeże, lube powietrze z miasta dusznego, pełnego niezdrowych woni. Szczęśliwi z panów ludzie! — westchnął, — ja mogę sobie na to pozwolić dopiero w martwym sezonie, — spojrzał melancholijnie i napił się piwa.

— A toś pan trafił kulą w płot, — zaśmiał się grubo prezes, — żaden z nas ani myśli wyjechać.

— Jednakże wyraźnie słyszałem rozmowę o wsi, — powiedział Merczak lekko zmieszany.

— To żony, panie majster, chcą się przewietrzyć, bo ich przypieka, — śmiał się prezes.

— Żony mają racyę, — mówił Merczak z miną mędrca, — tego wymaga hygiena i renowacya sił żywotnych, — ostatnie słowa wymówił podniesionym głosem z miną profesorską.

— Gadanie i tyle, — wzruszył ramionami Winecki, — jaka tam hygiena u nich, ot chcą się przetryndać i jadą... a pańska żona co?

— O ile aura będzie stosowna, wyjedzie najpierw ona, wszystko przygotuje, urządzi, i dopiero ja zjadę do spokojnego, cichego zakątka wiejskiego.

— Wygodnie pan się urządza, — uśmiechnął się Szabelski, — na żonę zrzuca pan wszystkie kłopoty.

— Za to ja pracuję cały rok, — wyjął srebrną papierośnicę i zapalił papierosa, — a z powodu mego fachu mam nerwy poszarpane.

— O! O! — zaśmiał się prezes, — wielka mi historya brać miarę na portki albo na surdut. Krojczy potnie, czeladnik uszyje, i skąd te nerwy poszarpane?

Wszyscy roześmiali się, Merczak zaś wyprostował swą chudą, kanciastą postać i rzekł z przymuszonym uśmiechem:

— Wolne żarty pana prezesa... może dawniej nasz fach tak traktowano, ale dziś inne czasy. Kundman, to nie kamienica, — był to przytyk do prezesa, który jako blacharz pokrywał dachy, — on ma swą wolę, fantazyę, upodobania, stosownie do charakteru i pozycyi socyalnej.

— Ładny z pana majster, — zadrwił Orszycki, — gdy każdy klient w pracowni rozkazuje, no, poszedłbym na dziady, gdybym słuchał klientów.

— I ja nie usłucham, — zawołał żywiej Merczak, — ale dobry ton wymaga wysłuchać kundmana i wytłómaczyć mu, że jego żądanie nie zgadza się z kunsztem krawieckim. Ja mam zresztą samą wyborową publiczność i miło jest posłuchać zdania równie światłego i uczonego.

— I dużo pan się dowie, — zaśmiał się prezes, — jaki pan był, taki i zostanie.

— O, ja cenię przekonania swoje i innych. Od swego nie odstąpię, ale dobrze posłuchać, co inni mówią. Ot i dzisiaj, jeden uczony dowodził mi, że lato tegoroczne z powodu nacisku i prądów powinno być słotne... to też nie wiem, czy wyjadę. Z drugiej strony znów jeden z kundmanów mówił mi, że barometr idzie w górę i zapewniał mnie, że pogoda pewna i stała. Teraz nie wiem komu wierzyć? — uśmiechnął się z miną przebiegłą człowieka wiedzącego o tej sprawie lepiej od innych.

— Głupstwo, panie Merczak, — zawołał prezes, — ile razy mówią mi: barometr idzie w górę, będzie pogoda, idę o każdy zakład, że będzie deszcz. Ten cały barometr to wielkie oszukaństwo, i więcej wierzę kotce, która się myje na pogodę, aniżeli barometrowi.

W kwestyi przepowiadania pogody lub niepogody każdy dojrzały człowiek posiada swe osobiste poglądy, które usilnie narzuca drugim, jako jedyne, pewne, nieomylne.

Panowie przy stole mieli swoje wyrobione poglądy w tej sprawie. Zgadzali się jednak wszyscy, że barometrowi nie można wcale wierzyć. Każdy z nich chciał zabrać głos, lecz jako ludzie dobrze wychowani umilkli, gdy Winecki, najbardziej porywczy z nich, zawołał namiętnie:

— Trzeba być idyotą, ażeby wierzyć w barometr! Ktoś mi mówił, że on wskazuje ciśnienie powietrza, — uśmiechnął się wzgardliwie, — tak panie głupcom gadaj, nie mnie... Bo to panie tak jest: — mówił tonem pedagoga, rysując palcem po stole, — naokoło jest powierze, wszędzie się wciska, w każdą dziurę, a bokami idą deszcze... Powieje z prawej strony i napędzi chmury z deszczem... powieje z lewej strony, napędzi chmury z deszczem. I jakie tu ciśnienie? Czy to nie jest wierutne łgarstwo?

Dla zebranych przy piwie panów wykład ten był tak jasny i logiczny, że zgodnie mu przyświadczyli, a Szabelski w obawie, że kto inny zacznie mówić, poprawił okulary i szybko powiedział:

— O barometrze niema co gadać, tyle wart, co ten popiół, — otrząsnął z cygara popiół na ziemię, — ja panie wierzę w kapucyna.

— Nie w reformata? — zaśmiał się Merczak.

Szabelski poprawił okulary, zmarszczył brwi i rzekł surowo:

— W poważnej dyskusyi żarty takie nie są na miejscu... chyba, że pan nie wiesz o barometrze jedynie prawdziwym z Kapucynem.

— Wiem, panie radco, — odpowiedział skromnie.

— Nie wiesz pan, — podniósł głos, — albowiem nie mówiłbyś pan o reformatach. Otóż jest to przyrząd doskonały i niezawodny... taki kapucyn na deszcz włazi do budki, a na pogodę wyłazi. Mam go u siebie.

— No, i sprawdza się? — spytał niedowierzająco Winecki.

— Zawsze, tylko teraz z powodu wazoników w oknie trzymam go w szafie i zepsuł się. Nie włazi do budki.

— Może zepsuta, — dorzucił Winecki.

— Może, bo kilka razy spadł na ziemię i już go nie próbuję.

Chwili zakończenia czekał niecierpliwie Orszycki i patrząc na towarzyszów, zaczął tonem przekonywującym:

— Ja, panowie, mam inny, niezawodny środek poznania pogody, — umilkł na chwilę, a stwierdziwszy zainteresowanie słuchaczy, mówił: — Każdy może go spróbować i przekonać się o prawdzie. Ja nie potrzebuję barometrów... kapucynów... to są bajki dobre dla dzieci, ja mam inny.

— No, powiedz radca nareszcie, — zachęcał prezes, — pewno jakieś babskie praktyki, bo wiadomo, że radca babiarz, — śmiał się.

— O, wcale nim nie jestem, — zaprzeczył.

— Teraz napewno, ale byłeś radca, — uśmiechnął się Szabelski, — znany byłeś z tego.

To wspomnienie zdobywcy niewiast było mu miłe, bo rozpromienił się, przygładził wąsa, ale westchnął i rzekł:

— Było kiedyś, było... dawniej, po sumie...

— A cóż z tą pogodą? — przerwał mu Merczak.

— Aha, otóż bierze się szklankę, ale lepiej filiżankę czarnej kawy... nie białej... bez łyżeczki w środku i rzuca się cukier... Jeśli te bulki z cukru...

— Pęcherzyki, — poprawił Winecki.

— Wszystko jedno, bulki, czy pęcherzyki, — powiedział Orszycki zniecierpliwionym głosem, — każdy wie, o co idzie. Jeśli one gromadzą się na samym środku, pogoda pewna, a jeśli rozchodzą się na boki... deszcz!

— I naprawdę tak jest? — spytał Szabelski.

— Mało sto razy próbowałem.

— A sprawdziło się? — dopytywał się prezes.

— Hm... prawdę mówiąc, zapomniałem zauważyć, czy była pogoda, czy deszcz, bo czy mało mam innych rzeczy na głowie?

Wszyscy nietylko zrozumieli, ale i uznawali słuszność powodu niezauważenia pogody, bo przecież trudno zważać na zmiany powietrzne, gdy ma się interesa na głowie.

Merczak z uśmiechem wyższości i pewności siebie rzekł:

— Pan radca Szabelski i pan radca Orszycki powiedzieli nam o sposobach ogólnych, że tak powiem, społecznych, ale ja posiadam swój własny... że tak powiem, przywiązany do osoby.

— Już wiem, — przerwał mu Orszycki, — masz pan nagniotki.

— Albo drze cię reumatyzm, — zaśmiał się prezes Blum.

— Ale cóż znowu!? — zawołał Merczak energicznie, — te rzeczy, o których panowie mówicie, należą do chorób klinicznych, a ja powiedziałem, że mam autentyczny sposób.

— No, jaki?

— Mam szafę... jest u mnie z piętnaście lat... Rano potrzebuję ją tylko otworzyć, a już wiem, czy pogoda, czy deszcz? Jeśli skrzypi, to deszcz, jeśli cicho się otwiera, pogoda. Mówiłem o tej własności szafy z jednym profesorem, powiedział mi, że to siła mistyczna.

— No, no, — dziwił się Orszycki, — i to taka prosta szafa przepowiada.

— O, przepraszam, prosta nie jest, — zaprzeczył, — prawdziwa orzechowa i rzeźbiona.

— To fornirowana, — dodał tonem znawcy Winecki.

— A tak, fornirowana.

Umilkli na chwilę i każdy rozmyślał nad swym sposobem odgadywania pogody, Orszycki jednak, który miewał skłonność do uogólniań i z tego powodu nazywano go filozofem, rzekł sentencyonalnie:

— Wszystko zależy od wiary. Ten wierzy w kapucyna, drugi w szafę, ja w kawę i z tą wiarą każdy jest szczęśliwy.

Ta mądra sentencya trafiła do przekonania wszystkich, a Blum, wdowiec od dziewięciu lat, uzupełnił to zdanie:

— Radca Orszycki dobrze powiedział, tylko z wiarą człowiek szczęśliwy, bo i coby było, gdyby mąż żonie nie wierzył? — kończąc te słowa, spojrzał złośliwie po obecnych, żonatych, i dodał: — ja spokojny, bo moja już nieboszczka, Panie świeć nad jej duszą.

Szabelski uczuł się dotknięty tem spojrzeniem, poprawił okularów i rzekł poważnie:

— Mało jest mieć wiarę w żonę, trzeba mieć, jak ja, oczy otwarte i widzieć fakta. Ja niby nic, a wszystko widzę.

— Niby co? — zaśmiał się prezes.

— Wiem, wiem, — uśmiechnął się drwiąco, — psie ozory mówią o Niedzickim, ale on bywa z mojem pozwoleniem, i sam proszę żony, ażeby się nim wyręczała, bo ja w dzień nie mam czasu.

— Co do mojej, jestem spokojny, — powiedział szczerze Orszycki, — kawalerów nie puszczam na próg... co innego żonaty, jak Marski, ten ma swoją, co mu po cudzej?

— Zaś u mnie, — zawołał z tryumfem Winecki, — nie bywa ani kawaler, ani żonaty. Znają mnie ludzie, że nie żartuję.

Ta mina tryumfatora ubodła Szabelskiego i rzekł z niewinnym uśmiechem:

— Zapomniałeś, Jasiu, o Bachmackim.

— Bachmacki bywa u mnie, nie u mojej żony, — rzekł dobitnie. — Mam budować dla To-

warzystwa Rolniczego składy, a Bachmacki pośredniczy. Sam podsunął mi tę robotę i układamy kosztorys... No, gdyby on lub kto inny ośmielił się zalecać do mej żony, dałbym ja jemu! — podniósł pięść w górę i zrobił minę okrutną i zawziętą.

— Cóżby mu dał pan budowniczy? — spytał zwolna, z wielką powagą Orszycki.

— Zastrzeliłbym go, jak psa! — zawołał groźnie.

— I ja tak samo! — rzekł z wojowniczą miną Merczak. — Mojej żonie nie wolno wchodzić do sali przyjęć.

— No, a gdy pana niema? — spytał Szabelski.

— Zastępuje mnie, ale drzwi zostawia otwarte.

— I sama bierze miarę? — zaśmiał się Winecki.

— Żart niewczesny, — zmarszczył brwi Merczak, — moja żona to dama dobrze wychowana i ułożona, a taka wstydliwa, że przy mnie nie nakłada pończoch.

— Pewno podarte i dziurawe, — zaśmiał się Blum.

— O, przepraszam! Moja żona nic dziurawego nie nosi, — odparł obrażony.

— A skąd pan wiesz, jeśli nie ubiera się przy panu, — uśmiechnął się Winecki.

— Skąd? to moja rzecz.

Jakiś czas rozmawiali o polityce, o nowych podatkach, a swoją drogą myśli ich były zaprzątnięte przypuszczalnym wyjazdem żon, i z głuchym niepokojem rozmyślali, na jakie to pokusy i różne przygody będą one narażone w obcem miejscu, zdala od nich.

Już nadchodziła zwykła pora rozejścia się, gdy stary Blum rzekł z uśmiechem, wesołym głosem:

— Wiecie, dzisiejsza nasza rozmowa o żonach przypomniała mi dawne, dobre czasy... Będzie temu ze trzydzieści lat, byłem młody, a druga moja żona, Panie świeć nad jej duszą, była ładna, wesoła kobietka... No, i schodziliśmy się co wieczór na piwie.

— Gdzie? panie prezesie? — spytał Szabelski.

— Tu, w tym samym lokalu, tylko mieliśmy ten stolik pod oknem, — spojrzał w tę stronę, — a było ich, żonkosiów, jak teraz was, akurat czterech. Był Marcin Nadobny, dobry chłop, umarł temu lat dziesięć; obok niego siadywał Jerzy Jelonkowicz, zegarmistrz, dowcipny i rozmowny, umarł na tyfus przed dwunastu laty; przy mnie siedział Floryan Kowalkowski, majster kominiarski, ten spadł z dachu i zabił się. Żyje jeszcze Masłowic, ale stary dziad, sparaliżowany.

To wymienianie nieboszczyków zaczęło nudzić słuchaczy, i Winecki rzekł:

— Czy to długa historya?

— Posłuchaj, a nauczysz się... Otóż do naszych żon, jak to bywało dawniej rzadziej, a dziś zawsze, zalecali się różni, takie szlifibruki, akurat jak do waszych. My wszyscy byliśmy cały dzień w pracy, dobrze, gdy człowiek wpadł na obiad i kolacyę... Gryzło nas, co też robią nasze żony bez nas na spacerach, wieczorami, albo też po nabożeństwie, zwłaszcza majowem, ale żaden z nas do tego nie chciał się przyznać.

Blum spojrzał na zasłuchanych towarzyszy i uśmiechnąwszy się spytał:

— A może was nudzi ta długa historya?

— Nie!... Nie! — zawołali żywo.

— Więc słuchajcie... Mówiłem wam, że Jelonkowicz, zegarmistrz, był dowcipny, otóż on jednego wieczoru powiada do nas: zróbmy sobie żart z naszemi żonami, który z nas spotka żonę jednego z nas, niech ją odprowadzi do domu, czy ona chce, czy nie.

— O! O! — skrzywił się Szabelski, — obrazi się przecież, zresztą idzie z kimś, za sprawunkami.

— Znów ma się o co obrażać! — wzruszył Blum ramionami, — byliśmy młodzi i nie obraziły się.

— No, i cóż się stało? — dopytywał się gorąco Orszycki.

— Trwała ta zabawa przez tydzień i jak ręką odjął. Nikt już nie asystował naszym żonom, a i one przestały włóczyć się bez celu.

— Hm... to niezły sposób, — powiedział Winecki po chwili.

— I ja tak myślę, — rzekł zwolna Orszycki, — warto się zastanowić.

— Wiecie co!? — zawołał nagle Szabelski, — póki one są w mieście, na naszych oczach, to człowiek spokojny, ale gdy wyjadą...

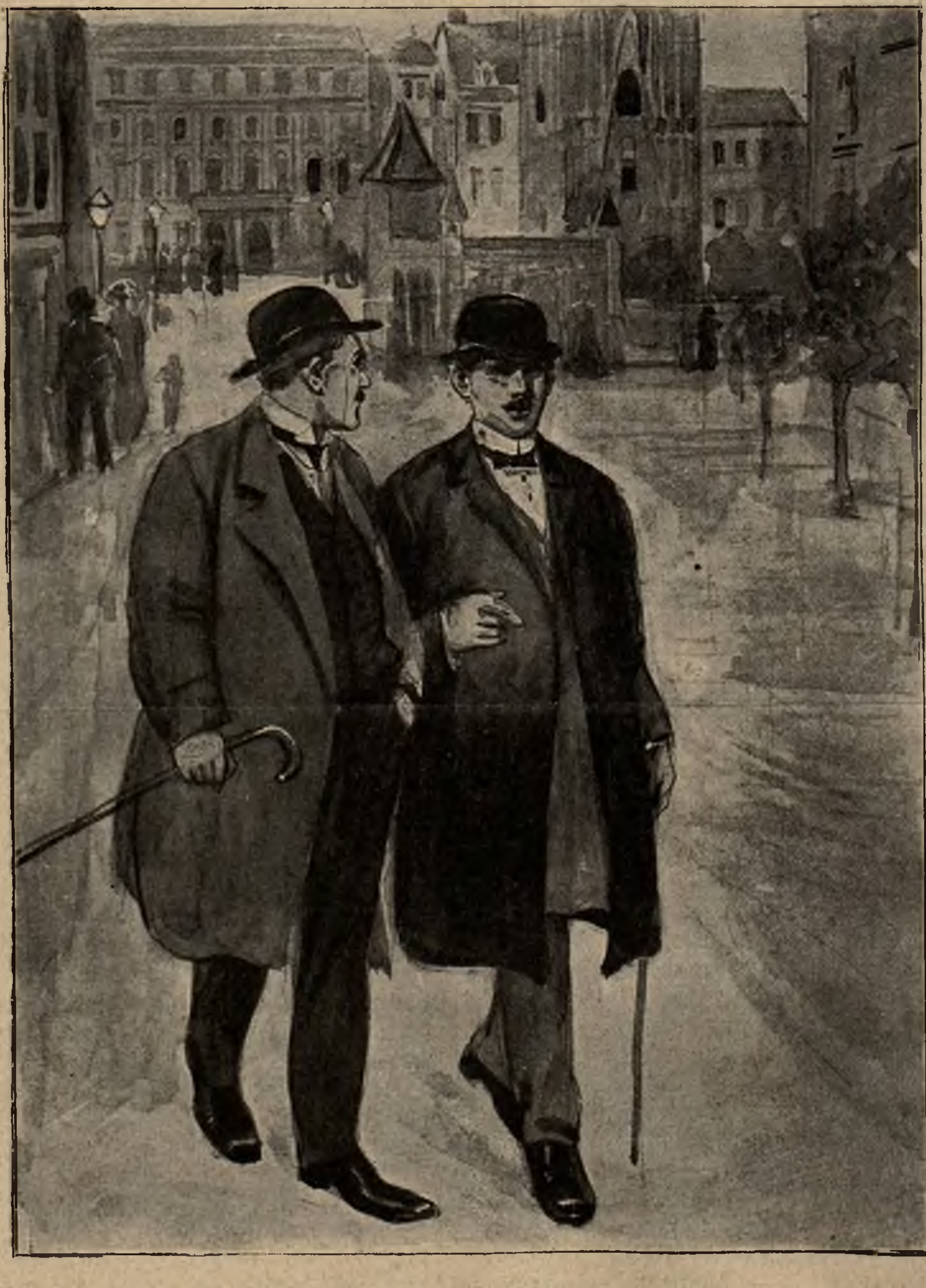
— Trzeba będzie coś obmyśleć, — popił piwo Orszycki; — i mówi pan prezes, że umizgi ustały raz na zawsze?

— Tego nie powiedziałem, dość, że przesiadywały więcej w domu... Swoją drogą, później się pokazało, że Jelonkowicz zadurzył się w Kowalkowskiej, a Nadobny w Masłowicowej, ale to już inna historya.

— Czas do domu, — wstał Szabelski.

— I nic nie postanowimy? — zawołał z żalem Orszycki.

— Względem żon? — uśmiechnął się Winecki.



Szabelski i Winecki mieszkali w tej samej stronie miasta, szli tedy razem do domu.

— A chociażby... Ostatecznie spokój jest miły człowiekowi.

— Jutro! Jutro! — dzwonił Merczak na płatniczego.

Szabelski i Winecki mieszkali w tej samej stronie miasta, szli tedy razem do domu, i zaledwie się pożegnali z towarzyszami, rzekł Szabelski:

— Uważałeś, Jasiu, jaki ten Orszycki zabawny z tem swojem gadaniem o Marskim i żonie.

— A tak! Niemal wróble o tem świegocą, a ten chwali się, że kawalera do domu nie wpuszcza, — zaśmiał się Winecki.

— Prawda, że ten Marski żonaty, ale już tak asystuje Orszyckiej, że to wszystkim rzuca się w oczy... Już jabym na to żonie nie pozwolił, — powiedział Szabelski tonem surowym. — Wiesz, mówiła mi Natalcia, że oni oboje byli razem w Kino.

— Co ty mówisz!? — zdziwił się Winecki.

— Jak Boga kocham! Już to na Orszyckim sprawdza się, że mąż jest ślepy. Ja nie pozwoliłbym na takie wycieczki.

— Ani ja! Zresztą moja żona inna, cnotliwa, bogobojna i nie lubi się stroić.

— Tak samo i moja Natalcia. Nie uwierzysz Jasiu, jak moja żona umie ubrać się tanio i gustownie. Wiesz, sprawiła sobie cały kostium, kapelusz, pantofelki i wszystko razem za dziesięć koron. Pięć oszczędziła, a pięć koron dodałem.

Ta pochwała Natalci pobudziła ambicyę Wineckiego, każdy mąż bowiem uważa, że jego żona powinna posiadać większe zalety, aniżeli inne żony. Jest w tem dużo miłości własnej, gdyż doskonałość żony jest zarazem świadectwem doskonałości męża w wyszukaniu i w wyborze żony.

— Zawsze ta suknia kosztowała ciebie dziesięć koron, — rzekł Winecki drwiąco, a Romcia sama zrobiła sobie kapelusz, który kosztowałby co najmniej piętnaście koron, jak widziałem na wystawie.

— Niema co, możemy sobie powinszować, takich żon jak nasze mało na świecie, — powiedział z odcieniem dumnego zadowolenia Szabelski.

— Jakiś czas szli w milczeniu, aż nagle rzekł Winecki serdecznie:

— Ferdziu, wierzysz, że jestem twoim przyjacielem?

— Wierzę.

— Otóż na twojem miejscu postarałbym się, ażeby ten Niedzicki rzadziej bywał u ciebie... Wiesz, dyabeł nie śpi, a chociażby i nic nie było, zawsze, uważasz, opinia!...

— Co opinia!? — oburzył się Szabelski, — opinia dla żony, to ja! A co do Niedzickiego, on usługuje żonie z mojem pozwoleniem i tu, w mieście, gdzie wszyscy mnie znają i moją żonę, każdy wie, że to fatygant nieszkodliwy i śmieją się z niego, a co innego w obcem miejscu... Powiem ci pod sekretem, że wolałbym, ażeby on nie był tam równocześnie. Nie, ażebym się bał lub podejrzywał coś, coby mi ubliżało, Bóg mi świadkiem, że nie, ale wiesz, obcy ludzie... nie wiedzą, kto ja... kto on... no, rozumiesz przecież...

— Tak, tak... rozumiem, — mówił Winecki z głębokiem przeświadczeniem, — Bogu dziękuję, że ja podobnych ostrożności nie potrzebuję... Swoją drogą, już się postaram, ażeby nikt prócz nas i naszych żon nie wiedział, gdzie one pojadą.

— Otóż to! Otóż to! — zawołał ucieszony, — bo powiedz sam, naco i poco mają wiedzieć inni?

— To się rozumie. Poco mają wiedzieć. Żony muszą wiedzieć, ale możemy je zobowiązać do zachowania tajemnicy.

— O, moja Natalcia, gdy poproszę, dotrzyma, zresztą, sama będzie ucieszona, że pozbędzie się nadskakiwań tego nudnego Niedzickiego... A o tej zapadłej wsi nic jeszcze nie wiesz?

— Coś wiem, tylko nie chciałem rozgadywać przed wszystkimi... Na komisyi budowlanej był dzisiaj komisarz policyi, zgadało się o wyjeździe na lato, i okazało się, że i on chce swoją młodą żonę wysłać do ustronnej wsi. Pytam go, gdzie? A on mi na to odpowiedział: powiem, ale na śniadaniu. Rozumiesz Ferdziu, że zgodziłem się, bo jeśli komisarz policyi wysyła tam swoją żonę, wieś musi być bezpieczna.

— No, tak... a on tam będzie?

— Przyjedzie, co także jest dobrze, bo w razie czego mamy pomoc policyi.

— Jednak ty, Jasiu, wszystko doskonale obmyśliłeś, — chwalił go szczerze Szabelski.

— Ja tak zawsze, bez planu i obliczenia nic nie zaczynam. Tak było i z mojem ożenieniem. Widzę, że dziewczyna uczciwa, powiadam jej: dam ci utrzymanie, ubranie, pozycyę, chcesz być moją żoną? Trochę się krzywiła, niby wiek nierówny, ale ostatecznie zgodziła się i jest szczęśliwa.

— No, no, to wiesz, Jasiu, akurat tak samo było z Natalcią moją. Jeszcze za nieboszczki okrutnie mi się podobała, a miała starającego się. Co ja się tem nagryzłem, ale żona, chociaż śmiertelnie chora, żyła. Dopiero po jej śmierci posłałem swata, ażeby wybadał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon biskupa lubelskiego.

W tych dniach zmarł w Lublinie tamtejszy arcypasterz ks. biskup Franciszek Jaczewski. Urodzony w r. 1832 we wsi Górki na Podlasiu, zmarły biskup pochodził ze szlachty podlaskiej, zamieszkującej już w XV. wieku wieś Jaczew. W r. 1850 wstąpił do seminaryum dyecezyalnego, skąd ostatni biskup dyecezyi podlaskiej wysłał go w r. 1852 do



Zgon biskupa lubelskiego: S p ks. biskup Franciszek Jaczewski.

warszawskiej Akademii duchownej. Był potem profesorem seminaryum duchown. w Janowie i regensem seminaryum w Lublinie. Dyecezyą lubelską rządził od roku 1885, najpierw jako administrator, a od roku 1890 jako biskup. W ciągu długich rządów położył wielkie zasługi około swej dyecezyi; cieszył się też uwielbieniem dyecezyan.



W obronie zdrowia: Obrady I zjazdu hygienistów polskich we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

W obronie zdrowia.

Ruch ozdrowieńczy społeczeństw, walka ze śmiertelnością, zwyrodnieniem fizycznem i skarłowacieniem rasy ludzkiej doszły i do nas wreszcie. Niestety stoimy pod tym względem na szarym końcu, nie całą tu jednak winę ponosimy, przyczyniają się ciężkie warunki rozczłonkowania kraju, utrudniające i wprost tamujące wszelkie najlepsze zapoczątkowanie jednostek.

Obecnie stosunki zmieniają się na lepsze, akcya dla poprawy kultury fizycznej u nas robi coraz większe postępy — ujęły ją właściwe ręce — fachowców lekarzy, współczesnych gladyatorów — sportsmanów, hygienistów społeczników i t. p. — Jaśniej patrzymy w przyszłość, widząc, że propaganda ich przenika do szerszych warstw, że coraz więcej zwraca się u nas uwagi na warunki zdrowotne, wychowania i racyonalnego pielęgnowania ciała. Pionierką tego ruchu jest przedewszystkiem hygiena, zmieniająca zasadniczo warunki życia ludzkiego. Konserwując starsze pokolenia, nowymi opiekuje się ona troskliwie od pierwszych chwil istnienia — przedłużając im życie i wzmacniając organizm.

Dla skoordynowania poszczególnych akcyj jednostkowych i tem skuteczniejszego ich działania oraz dla ujednostajnienia ich celowego a systematycznego zapoczątkowali nasi lekarze zjazdy specyalistów, co jakiś czas urządzane. Zjazdy te są przeglądem stanu faktycznego naszych stosunków zdrowotnych, wymianą nowych myśli i projektów, doniosłość ich jest wielka, a skutki błogosławione.

Lwów gościł w tym czasie dwa takie zjazdy naukowe; pierwszy polski zjazd hygienistów i drugi internistów.

Pierwszy zjazd hygienistów bodaj, że najważniejszy dla nas pod względem społecznym wypadł wspaniale — trwając kilka dni, przyniósł wielki plon w olbrzymiej liczbie referatów wygłoszonych przez licznych uczestników, przedstawicieli czterdziestu kilku najpoważniejszych instytucyj naukowych polskich.

Olbrzymią liczbę uczestników przeszło kilkaset osób tworzyli nasi lekarze, hygieniści, działacze społeczni z całej Polski i dalekich krańców Europy —



W obronie zdrowia: Uczestnicy I zjazdu hygienistów polskich we Lwowie.



W obronie zdrowia: Ze zjazdu hygienistów polskich we Lwowie.
(Fot. M. Münz, Lwów).



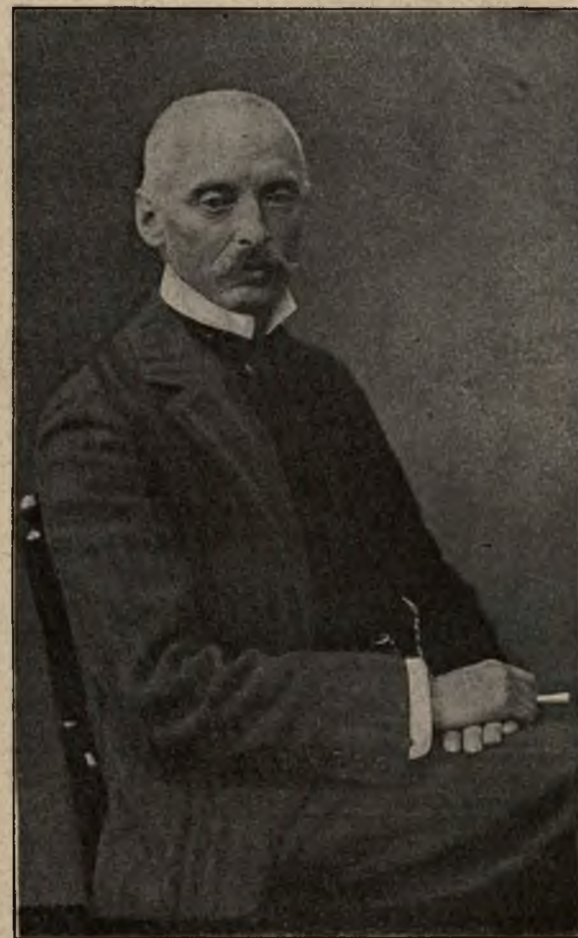
W obronie zdrowia: Wycieczka zjazdu hygienistów w sanatoryum w Hołosku.

obradujący w siedmnastu sekcyach. W wolnych od prac chwilach, goście zwiedzali doskonałe urządzenia hygieniczne Lwowa i zakłady lecznicze miasta i okolicy.

Po zjeździe goście w kilku grupach udali się na wycieczki po galicyjskich uzdrowiskach do: Zakopanego, Szczawnicy, Krynicy, Skolego, Rymanowa, Iwonicza i Lubieniu i inni.

* * *

Równocześnie z tym zjazdem odbył się dwudniowy drugi z kolei zjazd internistów. Zjazdy internistów stały się już instytucyą stałą, a wyodrębniły się ze zjazdów lekarskich, na których materyał w poszczególnych sekcyach, zwłaszcza w sekcyi medycyny wewnętrznej tak wzrósł, że nie dał



Ustąpienie artysty z areny politycznej: Włodzimierz Tetmajer.

się wyczerpać w szczupłych ramach sekcyjnych, skąd wynikła potrzeba oddzielenia tego działu. Pierwszy zjazd internistów, odbył się przed 4 laty w Krakowie.

W czasie obrad ogólnych omawiano sprawę wydawnictw naukowych oraz nadzwyczajnej reklamy dla t. zw. specyfików, często bezwartościowych, a nawet szkodliwych. Dla omówienia tej sprawy wybrano osobny komitet, na następny trzeci walny zjazd uchwalony na rok 1916 do Lwowa. Odbędzie on się łącznie ze zjazdem lekarzy przyrodników.

Lekarze polscy wykazywali zawsze i wykazują głębokie poczucie obywatelskie, łącząc je z umiłowaniem swej wiedzy, ktorą radzi oddają na potrzeby ogółu.



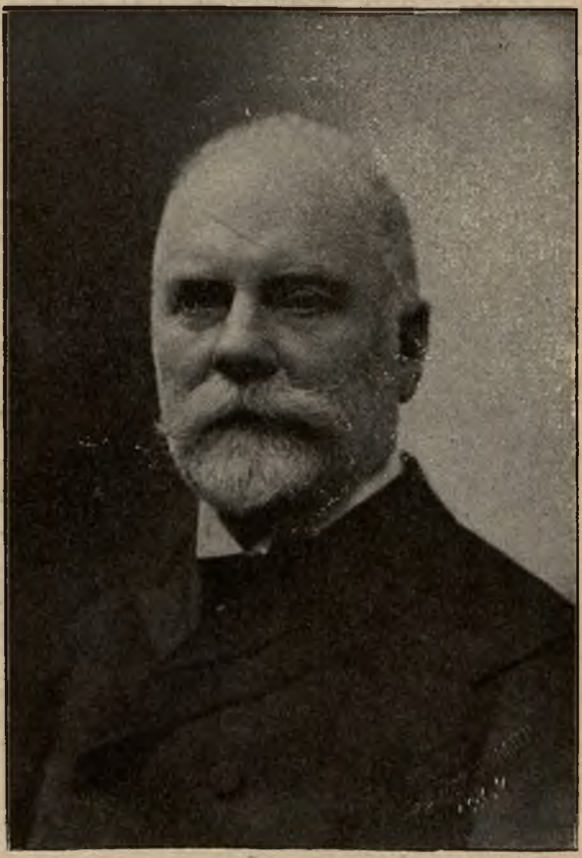
Jubileusz działacza śląskiego: Ks. Józef Londzin.



W obronie zdrowia: Wystawa zjazdu hygienistów polskich we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).



W obronie zdrowia: Prezydyum II zjazdu internistów we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).



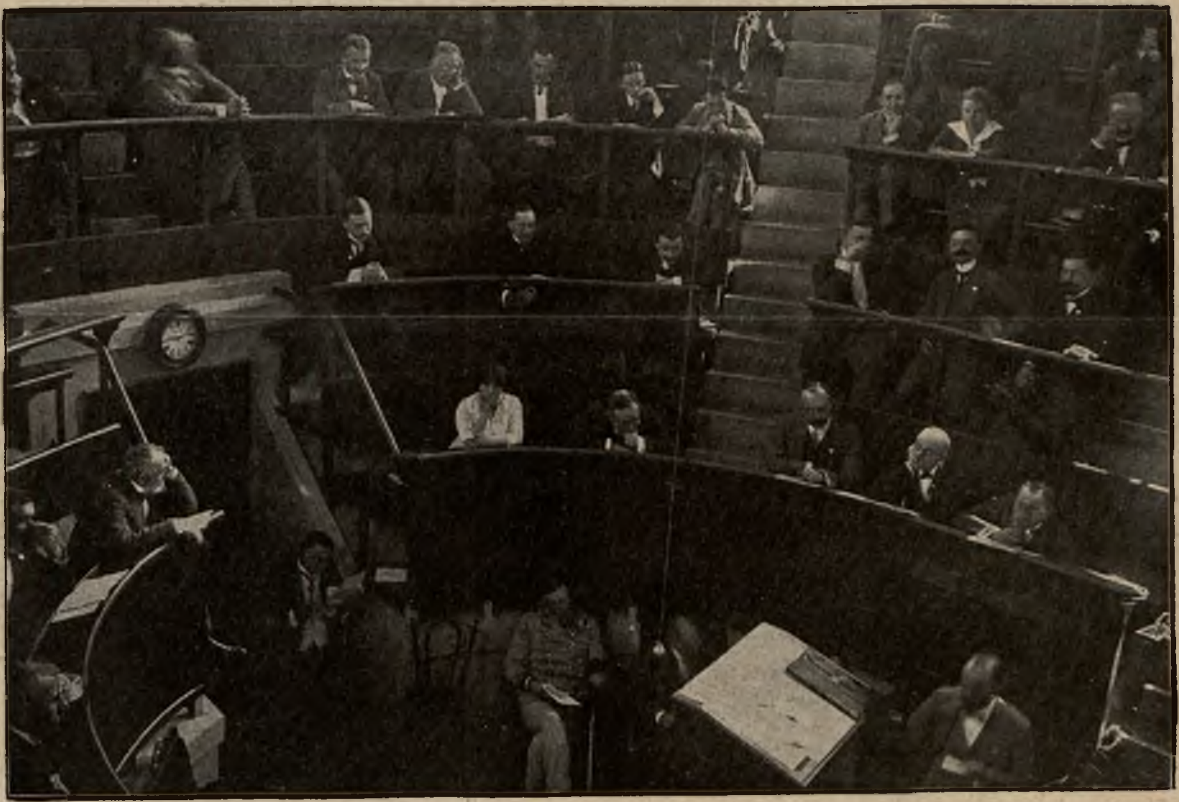
Widmo wojny europejskiej: Wspólny minister skarbu dr. Leon Biliński, szef władz politycznych Bośni i Hercegowiny.

Ustąpienie artysty z areny politycznej.

Popularny w całej Polsce „gospodarz“ z Bronowic, Włodzimierz Przerwa-Tetmajer, poseł ziemi krakowskiej do parlamentu wiedeńskiego z partyi ludowej, piastujący swój mandat od roku 1911, wniósł w tych dniach rezygnacyę na ręce prezydenta Izby Sylwestra. Paruletnia zaledwie karyera polityczna znanego artysty przyniosła mu więcej za-



Widmo wojny europejskiej: Szef generalnego sztabu austr.-węgr. gen. Conrad von Hötzendorf.



W obronie zdrowia: II zjazd internistów we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).



Pożegnanie kapłana-obywatela: Ks. St. Chmura w gronie uczestników uroczystości pożegnalnej w Czyszkach pod Winnikami.



Widmo wojny europejskiej: Szef rządu krajowego Bośni jen. inspektor Oskar Potiorek.



Jeszcze Ulster: Uroczyste poświęcenie sztandarów armii rewolucyjnej.

Szczerze brzmiały hołdy ludu polskiego, oddawane temu niestrudzonemu pracownikowi na niwie oświatowej. Za jego inicyatywą powstała Kasa Raifeissena, która dziś poszczyć się może bardzo poważnym dorobkiem, a Kółko rolnicze dobrze prosperujące i polski Dom ludowy miały w nim serdecznego opiekuna i doradcę.

Ustępującego proboszcza żegnały delegacye włościaństwa a imieniem Akademii Koła T. S. L. we Lwowie pp. Jan Pilch i Jan Jarembski, a w przemowach podnoszono, co może dokonać praca jednostki i szczere ukochanie własnego narodu. Dla upamiętnienia tej chwili, zebrani włościanie urządzili składkę na ochronkę w Białej, dając tem dowód, że sprawy narodowe silny zawsze znajdą oddźwięk w sercu ludu polskiego, a praca ks. Chmury nie poszła na marne.



Sukcesy polskiej śpiewaczki: Panna Nina de Ambrosi.

wodów, niż sukcesów. Szczerej, ekspulsywnej duszy posła Tetmajera obce i niedostępne były arkana i szacherki poza parlamentarne — jakich widownią stała się Izba austryacka.

Ostatnie zaś fermenty w partyi ludowej oraz ruchu narodowym Galicyi, przysporzyły tylko goryczy artyście, podejmującemu wszelką akcyę w szlachetnych tendencyach — czemu zbyt często życie przeczy...

Zniechęcony do polityki powraca poseł Tetmajer do ukochanej przezeń sztuki, a społeczeństwo nasze zyska tylko na tem, bo wybitny jego talent malarski przyniesie więcej dzieł pięknych w tej dziedzinie — niżli w tak obcej mu polityce.

Pożegnanie kapłana-obywatela.

Piękna uroczystość odbyła się w tych dniach w Czyszkach obok Winnik. Wieś polska żegnała kapłana obywatela ks. St. Chmurę, który wskutek podeszłego wieku przenosi się obecnie na pobyt do Sanoka.

Długowieczne pary.

Niewielu dziś dożywa wieku sędziwego a jeszcze mniej spotykamy takich, którzyby w związku małżeńskim przeżyli lat dziesiątki. Wypadki złotych godów są coraz rzadsze, a do fenomenów już należą gody brylantowe. A jednak nie wygasła w nas widać wielka siła żywotna, bo oto w Przemyślu obchodziła znana tam i ogólnie lubiana para małżonków pp. Bojanowskich jubileusz 75-lecia wspólnego pożycia. Kawał czasu — trzy ćwierci wieku! — choć oboje jubilaci są już staruszkami, trzymają się krzepko, patrząc na życie pogodnie.

Drugą tak szczęśliwą parą są pp. Janowscy z Żółkwi, którzy obchodzili w tych dniach złote gody półwiecznego małżeństwa.

A więc długowieczność nie jest fikcyą, lecz trzeba umieć żyć...

Jak twierdzą sędziwi jubilaci, tajemnica pomyślnej długowieczności, to pogodny optymizm i spokojne życie.

Nasza illustracya przedstawia obydwa szczęśliwe małżeństwa.



Długowieczne pary: Pp. Stefan i Karolina Bojanowscy w dniu dyamentowych godów.



Długowieczne pary: Pp. Jaworscy w gronie rodziny i gości na złotych godach.

WILLIAM THOMPSON.

FATALNA BLIZNA.

Z TAJEMNIC NOWEGO-JORKU.

(Z angielskiego).

1

ROZDZIAŁ I.

Tajemnicze porwanie.

— Przyjrzałeś się jej dobrze?
— Tak!
— Wiesz jak jest ubrana?
— Wiem!
— Nie pomylisz się?
— Możesz być pewny! Ona się nam nie wymknie.
— Zatem uwaga! publiczność zaczyna wychodzić z teatru! Ja stanę z boku.
— Widzę ją, już idzie!

W tej chwili młoda, wysmukła brunetka, uderzająco piękna, o delikatnych rysach twarzy, elastycznym krokiem zeszła po schodach wyjściowych wielkiego gmachu Opery nowojorskiej i zatrzymała się, spoglądając w kierunku automobilów.

Po krótkim namyśle, jakby wahała się iść naprzód, usunęła się nieco na bok, i zaczęła niecierpliwie rozglądać się dokoła. Trwało to jednak krótko; zdecydowała się i postąpiła kilka kroków naprzód, ale przystanęła znowu. Tym razem zatrzymał ją człowiek w stroju szofera. Twarz jego osłaniały okulary i głęboko na oczy nasunięta czapka automobilowa. Oddawszy nizki ukłon, wskazał w kierunku stojącego automobilu.

— Automobil czeka, miss Allice!

— Ach! to doskonale! Myślałam że się spóźnicie, bo ojciec miał przecież powrócić dopiero o jedenastej,

— Pospieszyłem się, aby być na czas.

— Dziękuję, jestem zadowolona — rzekła piękna panna i wsiadła do automobilu. W tem spostrzegła, że obok szofera siedzi jakiś inny mężczyzna także w stroju szoferskim.

— Kto to jest? — zapytała.

— Ach! to maszynista. Zdawało mi się, że automobil jest trochę zepsuty...

Młoda dziewczyna owinęła się silniej w swoją zarzutkę i zawołała:

— Do domu!

Była widocznie zmęczona, bo oparłszy się o wygodne poduszki, przymknęła oczy i zasnęła. Nagle jakiś instykt samozachowawczy zbudził ją. Otworzyła oczy, spojrzała wokoło i wykrzyknęła:

— Co to znaczy?

Spostrzegła bowiem, że automobil z największą szybkością pędził przez nieznaną ulicę, a człowiek, nazwany maszynistą siedział obok niej z rewolwerem w ręku.

Człowiek ten odezwał się:

— Miss, niech pani zachowuje się cicho i spokojnie. Nie chcemy pani zrobić nic złego, ale nie pozwolimy na żadne żarty.

Czarne oczy panny błysnęły, a koralowe usta przybrały pogardliwy wyraz.

— Ach! więc mam przyjemność znajdować się w sympatycznem towarzystwie bandytów. A może to jest żart, chęć wypróbowania mej odwagi? w takim razie proszę, aby ten głupi żart się skończył!

— Nie, miss Sheffield, to nie jest żart, przekona się pani o tem wkrótce. Nie mamy zamiaru pani skrzywdzić, ale postaramy się o to, aby pani nie robiła niepotrzebnego hałasu. Zapowiadam, jeżeli pani spróbuje krzyczeć, będziemy zmuszeni użyć środków bardziej gwałtownych. Mamy rewolwery i chloroform ze sobą. Byłoby nam bardzo przykro, gdybyśmy się do takich środków uciekać musieli, dlatego radzę, niech pani zachowuje się spokojnie.

Młoda dziewczyna oddychała szybko a białymi ząbkami przycięła wargę. W jej błyszczących oczach znać było zdumienie, ale nie było w nich trwogi.

Po chwili rzekła:

— Jeżeli dotychczas nie wołałam o pomoc, to wcale nie dlatego, żebym się obawiała.

— Zapewniam panią, miss Sheffield...

— Niech pan zamilknie! Powiem to, co mam do powiedzenia.

— Nie robię hałasu, ponieważ nie mam ochoty aby imię moje stało się łupem dla reporterów, wrzeszczących za skandalem. Dlatego też wolę przez jakiś czas znosić to miłe towarzystwo. Długo nie będzie to trwało, bo przekonacie się wkrótce, że się wam wasze szlachetne przesięwzięcie haniebnie nie powiodło. Tak! naturalnie to byłby doskonały interes porwać jedynaczkę milionera Sheffielda, możnaby za nią dostać piękny okup. Ale moi panowie, to się wam nie uda! Nie jestem tą, za którą mnie bierzecie! Ciekawa jestem, jaką minę zrobi ten, do kogo mnie wiedziecie, kiedy zobaczy moją twarz! No! bo wy jesteście napewno tylko pionkami najemnikami!

— Sądzę, że twarz pani miss Sheffield bardzo mu się będzie podobała. Zna on ją zresztą oddawna, tak jak i my również. Naprożno więc stara się pani zapierać, że jest samą sobą. My się nie mylimy nigdy! Lepiej będzie, jeżeli pani da nam słowo, że porzuci myśl o ucieczce.

— Takiego słowa nie dam nigdy! Słyszycie! Będę się starała wydostać z waszych rąk, o ile tylko będę mogła! Ja...

Nie dokończyła. Towarzysz jej wsunął rewolwer do kieszeni, a wydostał ztamtąd coś innego. Zanim zdążyła się zorjentować, już mdły zapach chloroformu owionął jej nozdrza. Muślinowa maska spadła na twarz i młode dziewczę osunęło się bezwładnie na poduszki, podczas gdy automobil z jak największym pośpiechem popędził w kierunku wschodnim.

* * *

Zaledwie automobil, unoszący młodą dziewczynę i jej towarzyszów, odjechał z pod teatru, kiedy już inny zupełnie podobny wysunął się z szeregu czekających samochodów i zwrócił się w tym samym kierunku. Wkrótce jednak zatrzymał się przed pierwszorzędną kawiarnią. Z samochodu wyszedł elegancki pan, przybrany w czarną zarzutkę, z pod której ukazał się doskonale skrojone ubranie frakowe. Pan ów pospieszył do kawiarni, pozostawiając w automobilu młodą, piękną damę i nieruchomo siedzącego szofera. Po chwili wrócił a za nim szedł kelner ze szklanką pełną perlącego się napoju. Czarno ubrany pan wziął z rąk kelnera szklankę i podał ją swej towarzyszce, która siedziała z miną mocno niezadowoloną i znudzoną.

— Allice, miss Sheffield, niech pani to wypije, to panią orzeźwi.

W tej samej chwili odwrócił się szofer i głosem pełnym szacunku zapytał:

— Czy miss Sheffield życzy sobie włożyć już płaszcz?

Ale młoda panna krótko i niecierpliwie odpowiedziała: „nie“, poczem kazała jechać dalej.

Po pewnym czasie pan we fraku zwrócił się do swej sąsiadki z troskliwem zapytaniem.

— Obawiam się, że pani czuje się zmęczona.

— Jestem więcej niż zmęczona. A ta rola, którą mi narzucacie, jest mi wstrętna! Wołałabym! No! ale trudno, jeżeli inaczej być nie może!

— O! pani jest stanowczo zmęczona, miss Sheffield. Niedługo będzie pani w domu i wtedy...

— Dosyć już tego! Jeżeli pan jeszcze jedno słowo w tym tonie do mnie powie, to... uderzę pana! I zwróciła się do szofera:

— Proszę jechać, jechać jak najszybciej!

* * *

Wszystko to działo się pewnego pięknego wieczoru majowego 1913 roku.

Nazajutrz szef policyi nowojorskiej otrzymał następujący list:

„Przed czterema dniami przybyła do Nowego Yorku młoda piękna dama i zamieszkała w hotelu „King of England“, gdzie zapisała się w księdze hotelowej jako Edyta Berrington. Nie zna ona zupełnie miasta, a przytem ma w Nowym Yorku osobistego wroga. Proszę więc tedy, aby policya nowojorska zajęła się tą młodą damą i zapewniła jej bezpieczeństwo osobiste. O imieniu i nazwisku nadawcy tego listu można się dowiedzieć w dyrekcyi policyi w Chicago“.

Ten list z Chicago został ogłoszony w dziennikach z następującem wyjaśnieniem:

„Natychmiast po otrzymaniu tego listu urzędnik policyjny udał się do hotelu „King of England“, gdzie jednakowoż dowiedział się, że miss Berrington znikła bez śladu. Pokojówka wyjaśniła, że młoda dama pytała się poprzedniego wieczoru, co grają w operze, poczem ubrała się elegancko i automobilem odjechała. Nie powróciła więcej.

Jak się dowiadujemy miss Berrington jest brunetką, wysmukłą, o uderzającej piękności. W ów fatalny wieczór była ubraną w niebieską jedwabną suknię i tego samego koloru kapelusz.

Każdy, ktoby mógł policyi donieść, gdzie się znajduje teraz miss Berrington, otrzyma nagrodę“.

Po kilku dniach pojawiły się olbrzymie artykuły ogłaszające sensycyjną wieść:

Tajemnicze porwanie panien!

Miss Allice Sheffied, córka znanego w naszem mieście milionera została uprowadzoną!

Co stało się z miss Berrington?

Gdzie są teraz obie?!

Co robi właściwie nasza policya?!

W tej zagadkowej sprawie ukazały się następujące bliższe szczegóły w nadzwyczajnym dodatku „New York Herald“.

„Dwie młode damy zniknęły tego samego wieczoru bez wieści, bo jak się dowiadujemy, miss Allice Sheffield jedyna córka znanego milionera została także uprowadzoną!

Ani o miss Sheffield, ani o lokatorce hotelu „King of England“ — miss Berington nie zdołano dotychczas zdobyć żadnych wiadomości.

Mr. Sheffield pocieszał się z początku nadzieją, że córka, nie zawiadamiając go, udała się w odwiedziny do krewnych. Nadzieja ta, okazała się złudną. Nieszczęśliwy ojciec obiecał sowitą nagrodę każdemu, kto mu dostarczy wiadomości o jego ukochanej jedynaczce!!“

Przez ośm dni wrzało w Nowym Yorku. Nie mówiono o niczem, jak tylko o tajemniczem zniknięciu dwóch młodych dziewcząt, a szczególnie piękna Allice Sheffield była przedmiotem ogólnego zainteresowania.

Nagle po ośmiu dniach ukazała się w dziennikach krótka wzmianka, że Allice Sheffield powróciła do ojcowskiego domu równie tajemniczo, jak przed kilku dniami tajemniczo została uprowadzoną. Podobno złożono okup tym, którzy ją uprowadzili i to stosunkowo nie wielki.

Więcej nie mogła się dowiedzieć, żądna sensacyi i skandalu, publiczność. Mr. Sheffield odmówił stanowczo, wszelkich bliższych wyjaśnień i szczegółów.

Drzwi domu milionera Sheffielda zostały na jakiś czas zamknięte, nawet dla najbliższych krewnych i przyjaciół, albowiem Allice po powrocie do ojcowskiego domu rozchorowała się ciężko.

ROZDZIAŁ II.

W roli narzeczonej.

— Cóż to za ścisk? Co się tutaj dzieje? — zapytała młoda dziewczyna i z pewnem wahaniem postawiła małą nóżkę na stopniu automobilu.

— Ależ Allice! mówisz tak, jakbyś nie poznawała Nowego Yorku i hotelu „Astria“. Zresztą prawda zapomniałem, że dzisiaj ma się w tej restauracyi odbyć małe polityczne zebranie.

— A to co znowu?! Uważać! krzyknął oburzony nagle młodzieniec na jakiegoś nędznie odzianego człowieka, który silnie potrącił młodą dziewczynę, wysiadającą z automobilu.

— Allice, czy cię uderzył mocno?! Jesteś taka blada! Ach! co za bezczelność! Może chcesz wrócić do domu?

— Nie! nie! — odpowiedziała pospiesznie — nic mi się nie stało, przestraszyłam się tylko bardzo! Wejdźmy jak najprędzej do środka, chcę się wydostać z tej ciżby.

W tej samej chwili przez tłum przecisnął się policyant, aby zapytać czy pannie nie stało się co złego.

— Ach! nie — odpowiedział młody człowiek — to był jakiś pijany gbur, który potrącił panią. Ale gdzie on się podział?

— Oho! on już czmychnął! Już go pan nie złapie! — zawołał mały urwisz uliczny, który z zajęciem przyglądał się tej scenie.

— Will, daj mu spokój, niech sobie idzie — nalegała trochę jakby gorączkowo młoda dama — on tego nie zrobił naumyślnie!

— O nie! miss — zabrzmiał znowu głos ulicznika — on to zrobił naumyślnie! Mnie odsunął, po to żeby się zbliżyć do pani i wtedy...

— Cicho bądź, chłopcze i zrób miejsce dla pani — przerwał niecierpliwie policyant i pospieszną usłużnością zaczął torować wśród tłumu drogę młodzieńcowi i opartej na jego ramieniu damie.

— Czy masz ochotę teraz na lynch? Zapytał troskliwie młody człowiek.

— Ależ naturalnie, Will, przecież mnie się nic nie stało. Przestraszyłam się tylko trochę, ale to już minęło. Przecież w Nowym Yorku jest się przyzwyczajonym do ścisku.

— Ach! to doskonale! — powiedział Will — pójdziemy zatem do sali palmowej.

— Do tej z węgierską kapelą? O! dobrze!

Weszli do wspaniałej sali, w której zwykł się był zbierać high-life nowojorski i usiedli przy jednym z wolnych stolików.

Tymczasem tłum przed restauracyą zaczął się powoli rozchodzić.

— No! już zdaje się nie będzie nic ciekawego! — odezwał się mały ulicznik do swego towarzysza — ale ja nie rozumiem, dlaczego oni nie gonili tego draba, który potrącił tę piękną panią. On to zrobił naumyślnie! powiadam ci naumyślnie! O co jemu mogło chodzić?! Bo on coś mamrotał jakby po niemiecku, albo po chińsku! czego on chciał?!

— A co to ciebie obchodzi? — przerwał mu niecierpliwie towarzysz — zamknij gębę i nie przeszkadzaj mi słuchać muzyki.

— Oho! Czy ja ją znam? — odezwał się z innej grupki ostry głos kobiecy — to przecież jest Allice Sheffield. Jej ojciec jest milionerem!

— Jakto — zawołała jakaś inna dziewczyna — to jest ta Sheffield, która...

— Tak jest! ta sama! Jedna jest tylko w Nowym Yorku miss Sheffield. A ten elegancik, który z nią przyjechał, to jest Wiliam Larkins, który niedawno odziedziczył wielki majątek po babce. Miss Sheffield wyszła dzisiaj pierwszy raz z domu po powrocie. Podobno była chora.

No! ale ja się doprawdy dziwię, że ci głupcy, którzy ją porwali, zadowolnili się marnymi 50 tysiącami dolarów.

— No! no! marne 50 tysięcy dolarów — śmiała się inna dziewczyna — oblizałabyś się, gdybyś dziesiątą część tego dostała.

Kobiety zaczęły się sprzeczać.

* * *

William Larkins wybrał jeden z najlepszych stolików, przy którym siedząc, piękna jego towarzyszka mogła swobodnie obserwować ruch na sali. Swobodnie mówił o wyborze menu, chcąc dać czas młodej dziewczynie, aby ochłonęła z przestrachu.

— Mój apetyt nie pozostawia nic do życzenia — oświadczył, śmiejąc się — ale jeżeli ty, Allice, nie masz ochoty do jedzenia, to możesz tymczasem oglądać znajomych.

— O! ja mam także apetyt! Tylko czuję się dziwnie zmieszana, pomimo rad i napomnień lekarza nie mogę się pozbyć jakiegoś niemiłego uczucia. Boję się, że może mi się zdarzyć, iż nie spostrzegę kogoś znajomego, komu by się ukłonić należało. Toby było bardzo niegrzecznie, prawda?

— W takim razie mogę ci zwracać uwagę, kiedy będzie przechodził ktoś, kogo pozdrowić trzeba! O, wi widzisz, ukłoń się teraz pani Larinson Peach, która siedzi tam, przy trzecim stoliku. A przy niej siedzi Agnieszka. Ma największy kapelusz na sali i do tego jeszcze czerwony. Pani Larinson jest zapatrzona w ciebie, Allice! Musisz więc podnieść oczy, rozejrzeć się po sali i dopiero, jakbyś niespodziewanie ją spostrzegła, zrobić uradowaną minę i ukłonić się.

Dziewczę uśmiechnęło się i podniosło swe czarne jak noc oczy. Chwilę Allice rozglądała się po sali, poczem, jakby przypadkowo, zatrzymała wzrok na pani Larinson-Peach i jej towarzyszce. Wtedy żywo i z uśmiechem skłoniła swą piękną główkę.

Will odwrócił się i jakby dopiero teraz spostrzegając te panie, ukłonił się.

— Ależ ty jesteś poprostu aktor, Will! — roześmiała się młoda dziewczyna i zaczęła zdejmować ze swych pięknie utoczonych rąk długie duńskie rękawiczki. Ale przy tem zajęciu guzik rękawiczki zaplątał się w koronkę, zdobiącą rękaw sukni i Allice napróżno starała się ostrożnie go odczepić.

— Pozwól nadobny krytyku, abym zabłysnął przed tobą jeszcze jednym talentem — rzekł młodzieniec i zaczął z ogromną pilnością odczepiać guzik. — Ale ten guzik się uparł! Musisz bardziej wyprężyć ramię! Aha! otóż go mam! — ściągnął rękawiczkę... Ależ...

Will urwał nagle i kurczowo schwycił koronkę. W oczach jego coś dziwnie błysnęło. Po chwili opanował się, cofnął rękę i rzekł powoli:

— Przepraszam, zdaje mi się, że podarłem koronkę, okazałem się bardzo niezgrabny! Ale to nic dziwnego, nie mam wprawy...

— Ależ nic się nie stało — zaśmiała się młoda dziewczyna — takie przypadki zdarzają się nawet mojej pokojówce.

Tymczasem Allice zapomniała już zupełnie o niemiłem wrażeniu na ulicy i zaczęła swobodnie i wesoło zamawiać potrawy.

Robili wrażenie, jak gdyby zamienili rolę. Allice stawała się coraz swobodniejsza, weselsza, ale w młodym człowieku zaszła jakaś zmiana. Pomimo uprzejmej rozmowy, jaką prowadził, był jakiś nieswój. Od chwili, kiedy zobaczył wyprężone białe ramię swej towarzyszki, coś mu się stało. Jakaś trwoga mignęła mu w oczach. Starał się opanować i nie pokazać nic po sobie. Śmiał się, żartował, opowiadał wesołe anegdotki, ale bystry psycholog byłby dostrzegł, że to jest tylko pozór swobody i wesołości.



Zapowiadam, jeżeli pani spróbuje krzyczeć, będziemy zmuszeni użyć środków bardzo gwałtownych.

Drogą powrotną do domu przebyli w milczeniu, dopiero przed bramą pałacu Allice zapytała swego towarzysza, czyby nie zechciał wejść.

— Chcesz, żebym poszedł do was? Zdawało mi się, że jesteś trochę zmęczona...

— Tak to prawda, jestem zmęczona i nie będę cię zatrzymywać długo, chcę ci jednakowoż coś powiedzieć, dlatego proszę, wejdź!

Poprowadziła go do małego, zacisznego saloniku. Chwilę stała i spoglądała na młodzieńca swemi czarnemi oczyma, jakby niezdecydowana.

— Dlaczegóż królowa moja ma tak poważną minkę, jakby chciała mi coś bardzo stanowczego powiedzieć o cóż to chodzi? Czy...

— Will, proszę cię — przerwała mu młoda dziewczyna — nie gniewaj się o to, co ci powiem. Kiedy wczoraj prosiłeś mnie, abym pozwoliła na publiczne ogłoszenie naszych zaręczyn, zawahałam się. Dzisiaj ja cię proszę, abyś pozwolił rzecz tę odwlec na jakiś czas. Nie chciej mnie źle zrozumieć. Ja się nie zmieniłam, tylko okoliczności się zmieniły. Ja nie mogę publicznie zaręczyć się z tobą, ja nie mogę zostać twoją żoną, dopóki się nie wyjaśni tajemnica tych dwóch tygodni, podczas których byłam więziona, kto wie, jak długo pozostawałam pod działaniem chloroformu, twarzy moich stróżów więziennych nie widziałam ani razu, pomimo, że obchodzono się ze mną dobrze. Wszystko to jest tak tajemnicze, więc dopóki się nie wyjaśni... W naszym świecie chwyta się skwapliwie każdą okazyę do plotek... każdą pogłoskę wykorzystuje się, a ta cała sprawa musi wywołać rozmaite przypuszczenia. Ty pochodzisz z rodziny szanowanej, dumnej, a i ja mam swoją godność. Nie mogłabym znieść tego, gdyby twoi krewni... Willu, o Willu, czy mnie rozumiesz?!

— Tak i nie!

Podniósł się zwolna z krzesła i wziął obie jej ręce w swoje dłonie.

— Kochanie moje, rozumiem twoją dumę i delikatność, która cię do takiego postawienia kwestyi popycha, ale... to mi nie wystarcza.

— Nie wystarcza?

— Allice, czy zechcesz odpowiedzieć mi na kilka pytań?

— Chętnie, o ile tylko będę mogła.

— Możesz, tylko ty możesz. Powiedz, gdyby nie zaszła ta ohydna rzecz, to tajemnicze porwanie, to tybyś się zgodziła na ogłoszenie naszych zaręczyn?

— Ależ naturalnie! — spojrzała na niego i nagle spuściła oczy.

— Czy twoje uczucia nie uległy zmianie? Czy niema kogoś innego, ktoby...

— Nikogo! Nikogo!

— A zatem kiedy się ta tajemnica wyjaśni?

— Wtedy... będzie, jak być miało.

— A więc dobrze, zgadzam się.

— O, dzięki, stokrotne dzięki! A teraz muszę cię pożegnać Wilu, chcę wypocząć trochę, zanim powróci ojciec i ciotka Betsy.

— Kiedy wolno mi będzie przyjść znowu?

— Chociażby jutro, mój przyjacielu.

ROZDZIAŁ III.

Świat chwyta w lot każdą okazyę do plotek.

Zaledwie Allice Sheffied opuściła wraz z swym towarzyszem salę restauracyjną hotelu „Astoria", natychmiast pani Larinson-Peach puściła swój języczek w ruch.

— Słuchajno Edyto — zaczęła mówić z błyszczącemi zaciekawieniem oczyma — co też myślisz o tej całej sprawie?!

— O jakiej sprawie?

— No, naturalnie o tem tajemniczem zniknięciu i niespodzianym powrocie Allice Sheffield.

— Widzę, że ty masz w tym kierunku jakieś przypuszczenia. No mów, mów, bo widzę, że pałasz chęcią wypowiedzenia tego, co ci leży na sercu.

— No! moja kochana, nie róbże mnie plotkarką. Ja tylko umiem patrzeć i wnioskować i dlatego powiadam ci, w tem coś jest.

— Cóż takiego?

— Nie wierzę, ale to wszystko jest zanadto tajemnicze. Wyobraź sobie: Jacyś nie znani ludzie uprowadzają młodą dziewczynę z gmachu opery, odurzają chloroformem, trzymają uwięzioną w pokoju, który ma górne światło jak atelier malarskie i w końcu godzą się na mizerną sumę okupu, 50.000 dolarów i wracają ojcu córkę znowu uśpioną chloroformem.

— Ależ ona musiała zapamiętać twarze tych bandytów!

— Podobno nie widziała twarzy żadnego z nich. Przychodzili tylko w nocy i gasili zawsze z zewnątrz światło elektryczne. A zresztą czy to byli bandyci? Mnie się zdaje, że w tem tkwi coś więcej, aniżeli my wiemy i aniżeli ten stary Sheffield chce powiedzieć.

— Sądzisz więc, że może... jakiś mężczyzna?... że było to romantyczne porwanie?...

— Nie wiem nic, konstatuję tylko nagie fakty.

— Rzeczywiście to jest dziwne, że owi ludzie, którzy ją porwali, zażądali tak niewielkiej stosunkowo sumy. Przecież Allice posiada olbrzymi majątek osobisty, odziedziczony po matce.

(Ciąg dalszy nastąpi).

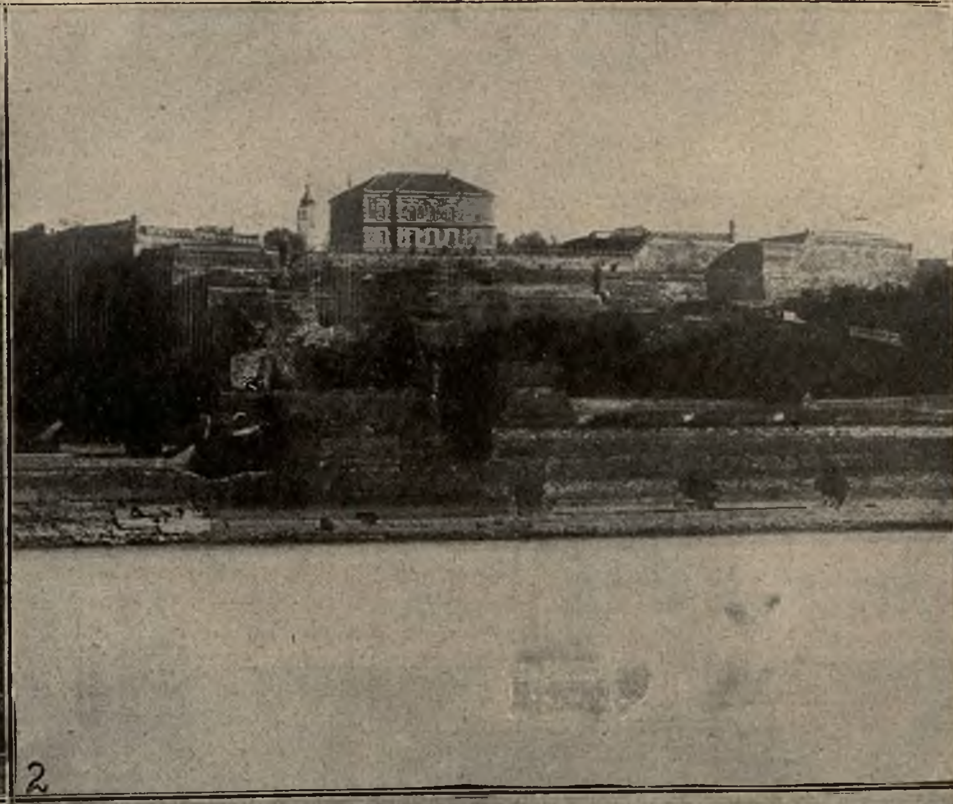
Sukcesy polskiej śpiewaczki.

(Do illustracyi na str. 10).

Jedno z ostatnich przedstawień z medyolańskiej „La Scali" były debiutem a jednocześnie tryumfem młodej śpiewaczki polskiej, występującej tam pod pseudonimem Nina de Ambrosi. Wytworna i wytrawna publiczność włoska przyjęła debiutantkę niezwykle gorąco, urządzając jej żywe owacye — sprawiła to doskonała gra i wspaniały głos p. Niny de Ambrosi, które chłodną w ocenie krytykę włoską niezwykle przychylnie dla niej usposobiły. Według bardzo pochlebnych recenzyj sopran młodej artystki ma posiadać wszystkie zalety: — miękość aksamitu, dźwięk najszlachetniejszego metalu — niebywałą siłę obok doskonałego opanowania technicznego. To ostatnie zdobyła p. Nina de Ambrosi u mistrza Reszkego w Paryżu, u którego kończyła swe studya śpiewacze.

Po tryumfach zagranicznych, młoda artystka operowa może da się nam poznać na scenach polskich.













Pierwsze strzały: 1) Ogólny widok Zemunia 2) Twierdza w Belgradzie. 3) Wymarsz wojska z Belgradu. 4) Obiad rezerwistów serbskich. 5) Poseł austryacki baron Giesl, który wręczył ultimatum w Belgradzie. 6) Następca tronu ks. Aleksander i szef sztabu jen. Putnik.

Kronika tygodniowa.

Skończyły się upały, z nimi i kanikuła.

Gdyś w ubiegłym tygodniu spotkał na ulicy lub plantacyach któregoś z rozszerzonych, ale zarazem i wydekoltowanych Krakowian, na zapytanie, co porabia, odpowiadał:

— A cóżby? Pocę się!

Nic w tem ostatecznie dziwnego, gorąco panowało tak dokuczliwe, że szczęśliwym mógł się nazwać ten, kto nie potrzebował opuszczać mieszkania, jeśli zaś już wyszedł, kierował swe kroki ku najbliższej knajpce i tutaj chłodził się pilznerkiem z lodu. Krakowskie handelki są po większej części sklepione, upał nie daje się też we znaki tak, jak na przykład w mieszkaniu, gdzie, choćbyś nawet pootwierał wszystkie okna, trudno było wytrzymać.

W bieżącym tygodniu temperatura się obniżyła, mój termometr spadł aż na podłogę i rozbił się w drobne kawałki, zaraz się też domyśliłem z wrodzoną mi przenikliwością, że coś będzie...

I miałem racyę. Mamy wojnę.

Dziś, choć chłodno i koszule *à la* Słowacki poszły już w odstawkę, jeśli spotkasz znajomego na ulicy, zapytaj go, co robi, a on ci odpowie z pewnością:

— Pocę się!

— Chyba nie z gorąca?

— Naturalnie!

— W takim razie ze strachu...

— Bardzo przepraszam! Proszę mnie nie obrażać! Nie ze strachu, z ostrożności!

— Teraz to już ja jestem, jak tabaka w rogu!

— Zaraz kochanemu panu wytłumaczę! Otóż ja się właściwie boję, ale jeśli sam jestem w strachu, to się nazywa tylko ostrożnością, gdy zaś boi się kto inny, to już jest strach, a nawet tchórzostwo!...

Przyznałem mu racyę i wobec tego obaj razem pociągnęliśmy „na bombkę", bo gdzież można swobodniej gwarzyć o polityce, jak nie w knajpce, gdzie schodzą się znajomi, którzy z całego miasta znoszą różne, nieraz zupełnie z prawdą rozmijające się wiadomości, ale tak smacznie podane, iż, choćbyś był świętym Tomaszem, musisz uwierzyć i kolportujesz je dalej, zmienione przecież według własnego upodobania.

Najważniejszego z polityków w zwykłem miejscu nie zastałem, gdym zaś zapytał:

— Panie Władysławie, a gdzie pan radca?

— Oho! Pan radca chory! — odpowiedział.

— Czy coś poważniejszego?

— Nie! Pan radca zakisił sobie kiedyś ogórki, a gdy się dowiedział z ogłoszenia, że każdy obywatel na wypadek wojny obowiązany jest do świadczeń dla wojska, zjadł je wszystkie, bojąc się, by ich dla armii nie zabrano...

— No! To jeszcze nic niebezpiecznego! Przy pomocy olejku rycynowego doprowadzi łatwo do równowagi!

Głównym tematem rozmów naturalnie wojna.

— Panowie! — mówił jeden ze „sztamgastów" — ja was zapewniam, że wojna będzie, albo może i obejdzie się bez niej! Zobaczycie, że spełnią się moje słowa, bo ja się nigdy nie mylę w tych rzeczach. Ja, jakby to powiedzieć, trzymam rękę na pulsie europejskiej polityki, że niech się Berchtold schowa!

— A jeśli będzie wojna, któż zwycięży? — pytał ciekawie jakiś mniejszego kalibru polityk.

— Hm! Jeśli będzie?... To się jeszcze nie da powiedzieć!... W każdym razie albo jedna, albo druga ze stron wojujących..

— Ale która?

— Tego nie mogę powiedzieć! Mogliby mnie za to skonfiskować! Pan wie, że teraz przepisy policyjne są bardzo obostrzone, nawet na noszenie parasola trzeba mieć specyalne pozwolenie!

— Co też pan plecie!...

— Ależ, jak Boga kocham! Mówił mi jeden woźny z magistratu! Słyszał na własne uszy...

— E... To nic, moi panowie! Jeśli deszczu nie będzie — dowodził drugi — to bez parasola się pan obejdzie, gorzej jednak, że mają ograniczyć, a może nawet zastanowić ruch na kolejach!... Będziemy musieli pić krakowską lurę, bo pilznerka nie będzie!

— W takim razie każdy przezorny gospodarz powinien zrobić zapasik na czas krytyczny...

Długo i szeroko zastanawiało się szanowne zgromadzenie nad tem, kto ponosi właściwą winę tej wojny, która, albo będzie, albo obejdzie się bez niej i wreszcie zgodzono się na wywody pana radcy (tak się nazywa, bo sam sobie radzi, jak umie, co prawda, nie zawsze skutecznie), że winę ponosi pani de Thébes.

— Proszę, przeczytaj pan „Kuryerka" — tak rozpoczął — tam stoi, panie, jak byk, czarne na białem. Zapowiedziała na rok 1914 wojnę z powodu zgubnego współdziałania Marsa i Saturna...

— A kto to ten Saturn? — zapytał nagle ktoś z końca stołu. — Czy także profesor akuszeryi?

— Skądże znowu! To przecież planeta...

— No... ale Mars, to chyba profesor. Znam go przecież. Gdy moja żona chorowała przed laty, wzywałem go do niej, był wtedy w Krakowie, na klinice.

— Tak! Ale ten Mars, o którym „Kuryerek" pisze, to także planeta... A jak ona to ładnie powiedziała! Proszę posłuchać: „Osiągniemy szczyt największego zła, najdonioślejszych decyzyi.."

— Aha! Pewnie miała na myśli, że w Krakowie braknie pilznera... — przerwał jeden ze słuchaczy i chwycił gorączkowo za bombkę, by korzystać z darów Bożych, póki jeszcze są.

— Cicho tam! Dalej mówi tak: „Szczęśliwy rok dla tych, których serca biją dla wielkich i zbawczych ideałów, pomimo wszelkiej krwi, wszelkich łez. Chwalebny rok pomiędzy chwalebnemi laty przeszłości, rok niezgody, po którym nastąpi zgoda, rok nienawiści, której miejsce zajmie miłość, rok rozdwojenia, po którem nastąpi połączenie się europejskich i zamorskich narodów"... A co? Czy ona to nie pięknie wykalkulowała?

— Niby pięknie — odparł na to sąsiad prelegenta — bo akurat ani słowa z tego nie rozumiem. Gada o jakiejś tam miłości, a gdzie nam tam, panie święty, w tym wieku miłość w głowie! Ot, lepiej napijmy się. Niech tam, kto chce gada, ja tam wiem, że, gdzie dyabeł nie może, tam babę posyła! Żeby nie ta przeklęta Francuzica, toby wojny nie było... Panowie! Na pomyślność! Jakby, panowie tego, do czego przyszło, staniemy, jak jeden mąż, ale na razie nie kłopoczmy się, będzie na to później dość czasu!

Załatwiwszy w ten sposób sprawę, kto jest winien, że wojna może być, przystąpiono do drugiego punktu porządku dziennego. Ale radzono już nie tak ochoczo, nosy pospuszczano nawet na kwintę.

Zabrał głos jeden z ojców miasta:

— Ba! To wszystko nic! Ja się tam wojny nie boję, choć prochu nie wąchałem dotąd... Gorsze, że nasze baby gotowe zjechać wcześniej ze świeżego powietrza. Szkoda zaś pieniędzy, bo człowiek z góry zapłacił czynsz za mieszkanie przez dwa miesiące, a tego nie wrócą. Zresztą, przyznam się, że jakoś swobodniej czułem się przez te kilka tygodni, gdy mojej starej w domu nie było...

— Oj! To prawda! — potwierdził drugi i westchnął. — U mnie jest tak samo!...

— Pocóżby miały wracać?... Przecież bab nie będą brać do wojska. Ja swojej napisałem, żeby siedziała na wsi dalej, bo w Krakowie będzie tylko zawadzać. Nie wiem, czy usłucha, ale dałby Bóg...

Od tej chwili, gdy poruszono tak drażliwą kwestyę, wesołość opuściła biesiadników, jeden z nich tak nawet melancholijnie zapatrywał się na to życie, iż zauważył:

— A możebyśmy tak kropnęli czarnego piwa?... Władziu! Trzy portery!...

Ale Władzio właśnie nie miał czasu, gdyż w kącie czytał wiadomości z placu boju, które nadesłał specyalny korespondent, siedzący stale w Krakowie i nie wybierający się nawet za rogatki, wobec tego wyręczył go sympatyczny Miecio, który z takim zapałem odkorkował butelki, iż strzeliły, niczem prawdziwe haubice. Obudził się nawet pewien staruszek emeryt, drzemiący spokojnie przy stoliku.

— Ha! Mamy więc pierwsze strzały!... Jak wojna, to wojna!... Na zdrowie!...

Wtem stało się jednak coś nadzwyczajnego... Do lokalu weszły trzy niewiasty, odziane jeszcze w kostyumy podróżne...

We mnie i dwu mych towarzyszy jakby piorun uderzył... były to nasze rodzoniusieńkie żony...

— A wy tu poco? — zawołaliśmy jednogłośnie.

Moja, jako, że to kobieta wymowna, zabrała głos w imieniu wszystkich i rzekła:

— W tak poważnej chwili nasze miejsce przy waszym boku. A gdyby cię tak powołali? Któż potrafi cię tak wyekwipować, jak nie własna żona?...

— Oho! — odparłem. — Takbyś się mnie prędko chciała pozbyć? Nie chyci...

Druga z owych trzech Gracyi, bardziej może energiczna, widząc swego małżonka przy szklance porteru, zauważyła z przekąsem:

— Ty stary pijaku! Na porter, to masz, a gdym ci pisała, że potrzebuję pieniędzy na nowy kapelusz, odpowiedziałeś, że ciężkie czasy... Poczekaj! Już my się w domu rozmówimy!

— Będzie wojna! — mruknął pod nosem pewien stary kawaler i spojrzał ze złośliwym uśmiechem na czułą parę. — A mówiłem mu, aby się nie żenił, nie chciał jednak słuchać...

Cóż było robić, wobec energicznej postawy naszych pań, uznaliśmy zgromadzenie za rozwiązane przez władzę domową i rozeszliśmy się w spokoju, kilku *solo* (szczęśliwi!...), my trzech w towarzystwie naszych aniołów stróżów.

Ponieważ urzędownie zabroniono ogłaszania wszelkich wiadomości wojennych, nie powiem, co się działo w domu u mnie i u mych dwu towarzyszy niedoli. Radzę tylko tyle dla przestrogi słomianych wdowców, by codziennie porządkowali należycie swe mieszkania, nikt bowiem nie jest pewny ani dnia, ani godziny. A nuż wrócą niespodzianie ich połowice?

A ile ja miałem kłopotów, tego nikt nie pojmie, chyba... jeśli był przypadkowo w tem samem, co i ja położeniu. Wiecie zaś Państwo, o co poszło?... O głupią podwiązkę, którą moja stara znalazła na podłodze. Kto ją mógł zgubić, tego sobie nie przypominam, przypuszczam nawet, że podrzuciła ją ona sama, aby w ten sposób wypróbować swego małżonka, a nuż się złapie?...

Oho! Ale ja jestem stary wróbel i na plewy wziąć się nie dam. Gdy mi pokazano *corpus delicti*, ruszyłem ramionami i rzekłem obojętnie:

— Albo ja wiem!

— Widocznie, stęskniony po odjeździe żony, przyjmowałeś tutaj damskie odwiedziny!

— Ja?

— No niby któż?...

— Stanowczo nie!

— Któż więc w takim razie ją zostawił. Sądzę, że chyba ty nie nosisz jedwabnych podwiązek z kokardami...

— A może stróżka zgubiła?

— Daj spokój, nie kręć! Stróżka ma lat sześćdziesiąt i nie jest wcale w pretensyach... Radzę ci, przyznaj się...

— Jakże mogę się przyznawać do czegoś, czego nie popełniłem?

— Nie chcesz?... Ja ci jednak powiadam, że się dowiem, choćbym miała nawet wypożyczyć sobie z policyi Aidę... Ona mnie już zaprowadzi!

I od tej chwili ogłoszono mi zawieszenie konstytucyi domowej (której *de facto* nigdy nie zaznałem, gdyż moja stara rządzi zawsze absolutnie) i zaprowadzenie stanu wyjątkowego, to jest, iż bez pozwolenia nie wolno mi się ani na krok ruszyć. Na wszelki wypadek skonfiskowano mi buty, mogę chodzić tylko w pantoflach, chyba, że obowiążki powołują mnie na miasto. Wówczas żona wydaje mi z domowego arsenału (t. j. szafy) trzewiki, każdorazowo za rewersem...

Życie wobec tego tak mi obrzydło, iż zdecydowany jestem kupić sobie u Arona Gajera całkiem prawdziwą armatę i wyjechać na wojnę prawdziwą, która jest jeszcze niczem w porównaniu z domową. Stamtąd, jako specyalny korespondent wojenny, o ile naturalnie nie legnę od kuli nieprzyjacielskiej, bo i to nie jest wykluczonem, nadsyłać będę jedynie autentyczne wiadomości.

Gdyby mi jednakowoż żona nie pozwoliła na wyjazd i tak będę miał sprawozdania z pola walki, wprawdzie nie na własnym drucie, ale przy pomocy nożyczek, więc nie omieszkam podzielić się niemi z P. T. Czytelnikami, żądnymi za szesnaście centów, czyli trzydzieści dwa halerze, różnorakich sensacyj.

Teatr wojny.

Wojna austryacko-serbska faktycznie i formalnie już się zaczęła, nie od rzeczy też będzie dać obraz teatru przyszłych starć i bitew, oraz państwa serbskiego. Przedstawia to po części podana przez nas w bieżącym numerze mapa, którą uzupełniamy kilku szczegółami. Podana przez nas mapka obejmuje północną Serbię, „właściwą, starą“ Serbię, oraz pogranicza: węgierskie, bośniackie, rumuńskie, bułgarskie i czarnogórskie, a więc teren przyszłych ruchów i operacyi wojennych. Gdzie koncentruje się armia serbska, co do tego krążą tylko pogłoski. Według jednej z nich główną kwaterę serbską przeniesiono do Waliewa, miasta położonego w zachodnio-północnej Serbii, połączonego z Belgradem linią kolejową Mladenowac - Lajkowac, a oddaloną około 50 klm. od granicy austro-węgierskiej. Według innych pogłosek dwór i rząd serbski mają przenieść się z zagrożonego bezpośrednio Belgradu do Kragujewaczu — względnie do Niszu, a kwatera do Semendryi, którą przedstawia jedna z naszych illustracyi.

Serbia pod względem geograficznym przedstawia się jako teren spadający łagodnie od południa ku północy, czyli ku Dunajowi, otoczony po stronie wschodniej i zachodniej łańcuchami górskimi.

Północną granicę Serbii od miejscowości Racza, na pograniczu Slawonii i Bośni, aż po Zemuń-Belgrad, tworzy rzeka Sawa, która tam uchodzi do Dunaju, stanowiącego w dalszym ciągu granicę aż do Starej Orszowy na pograniczu Rumunii. Rzeki te są znaczną przeszkodą w operacyach wojskowych, a serbski brzeg Dunaju jest znacznie wyższy od węgierskiego, szczególniej na przestrzeni Obrenowac-Belgrad-Semendria, skutkiem czego wojska, zamierzające wkroczyć do Serbii od północy, napotkać muszą na trudności przy forsowaniu przeprawy przez Dunaj. Od Kostola do Golubacu towarzyszą brzegowi serbskiemu niewielkie wzgórza.

Granicę Serbii od strony Bośni stanowi przeważnie rzeka Drina, prawy dopływ Sawy. Dopiero południowa część granicy jest sucha i prowadzi przez wysokie góry. Skutkiem tego większe oddziały wojsk mogłyby przekroczyć granicę serbsko-bośniacką tylko w kilku punktach, tj. przy ujściu Driny do Sawy, koło Zwornika, koło Bajina Baszta, skąd prowadzi najbliższa droga przez wąwóz Kadinjaca w dolinę rzeki zachodniej Morawy i do końcowej stacyi kolei serbskiej w Użicy.

Ufortyfikowanemi miastami w Serbii są: Belgrad, posiadający stare fortyfikasye, Nisz, leżący przy ujściu Niszawy do Morawy (Zajeczar i Pirot): z większych miejscowości serbskich nad Dunajem-Sawą: Szaboc, Semendria (Smedrewo), Porażewac i Velike-Gradiste. w środku zaś kraju Kragajewac zamieniony podobno w ostatnich czasach na silną fortecę (znajduje się tam główny arsenał serbski) i Kruszewac; nad granicą Bośni leży Leśnica.



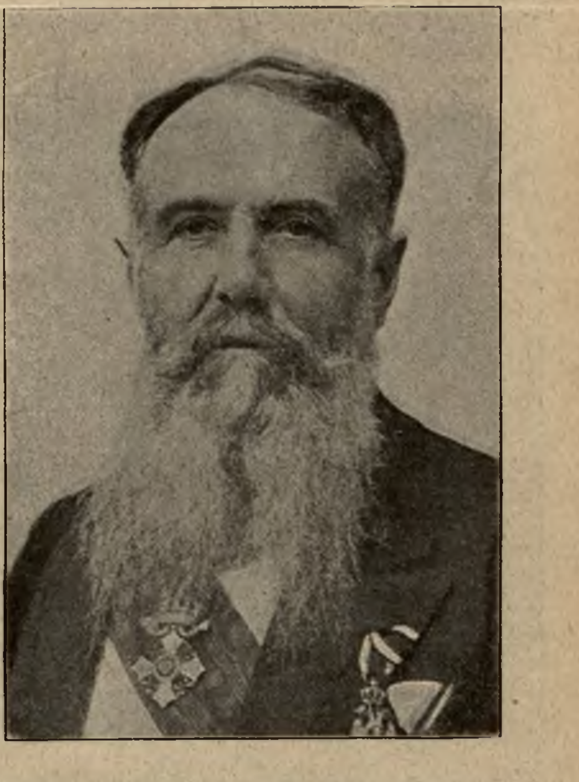
Teatr wojny: Mapa terenu przyszłych operacyi wojennych.



Arcyksiążęca wizyta w Galicyi: Wójt z Siemianówki wita arcyksięcia Leopolda Salwatora ch'ebem i solą



Arcyksiążęca wizyta w Galicyi: Arcyksiążę Leopold Salwator rozmawia z młodzieżą w Siemianówce.



Widmo wojny europejskiej: Mikołaj Pasicz — premier serbski.

Arcyksiążęca wizyta w Galicyi.

Arcyksiążę Leopold Salwator, o pobycie którego w Przemyślu i Niżyńcu pisaliśmy w poprzednim



Polskie Lido: Kąpiel wiślana. (Uczestnicy i uczestniczki wycieczki oddziału wioślarskiego „Sokoła") (Fot. St. Puciński).

numerze, bawił w ostatnich dniach w okolicach Lwowa, gdzie był obecny na ćwiczeniach artyleryi. Arcyksięcia podejmował obiadem korpus oficerski we dworze p. Kazimierza Sulatyckiego w Siemianówce. Do obiadu przygrywała siemianowska orkiestra włościańska pod batutą swego dyrygenta, p. Władyki. Arcyksiążę wyraził zdziwienie, iż orkiestra wiejska może grać tak sprawnie i wyraził dyrygentowi swe pełne uznanie.

Również ludność Siemianówki witała arcyksięcia bardzo uroczyście. U wrót bramy tryumfalnej ustawiła się cała ludność Siemianówki, młodzież szkolna, oraz orkiestra włościańska, zaś polska banderya konna wyruszyła na powitanie arcyksięcia.

Pierwszy przywitał arcyksięcia wójt Siemianówki wręczając mu staropolskim zwyczajem chleb i sól. Następnie przemówił kierownik szkoły p. Tczech a dziewczęta szkolne ofiarowały arcyksięciu kwiaty oraz haft. Po tym przywitaniu udał się arcyksiążę do szkoły, gdzie odbył się obiad oficerski. Po obiedzie udał się arcyksiążę na dworzec w Szczercu, skąd odjechał z powrotem do Wiednia.

Polskie Lido.

Długotrwająca pogoda wraz z panującemi upałami, (niestety wszystko już minęło) przyczyniła się w niemałym stopniu do podniesienia na Wiśle pod Krakowem ruchu kąpielowego, w szczególności zaś wioślarskiego i pływackiego w Oddziele wioślarskim krakowskiego „Sokoła". Wisła zdawała się spiętrzać, nie mogąc pomieścić w swoim korycie całych mas Krakowian, szukających w jej nurtach ożywczego chłodu, a łodzie z wioślarzami z trudem przedostawały się pomiędzy sylwetkami kąpiących, zdążając hen poza mury miasta w okolice Bielan i Tyńca. Łachy głębokiego, słońcem przegrzanego piasku, za-



Widmo wojny europejskiej: Serbski następca tronu ks. Aleksander.



Proces ministrowej Caillaux: Sala rozprawy sądowej podczas zeznań b. ministra Caillaux. 1) Pani Caillaux. 2) Adwokat Labori. 3) Były minister Caillaux.

stępowały wioślarzom plaże morskie, koryto zaś Wisły o miękiem piaszczystem dnie, daje pełne zadowolenie wybornej kąpieli rzecznej. Wesoły gwar wioślarzy i nadobnych wioślarek rozbrzmiewał w przeczystem nadwiślańskiem powietrzu. Po kąpieli przeciągającej się czasami w godziny, spoczywali wioślarze, wśród zieleni drzew, spożywając z wilczymi apetytami mleczne śniadania, w chłopskiej chacie pod klasztorem O. O. Kamedułów na Bielanach. Wesołość i pogoda bije z ich twarzy, a zczerniałe od słońca ciała świadczyły najlepiej o zdrowotnym wpływie tego sportu.

Przemyśl też zażywał rozkoszy kąpielowych w Sanie, w doskonale urządzonych łazienkach, których tylko... Kraków nie posiada.

Podajemy obrazki z tej sielanki wioślarzy krakowskich i pływaków przemyskich — na pocieszenie w obecnych deszczowych i chłodnych dniach gorączki wojennej.

Z kroniki pożarów.

Lato jest w naszym kraju okresem ciągłych pożarów. Wraz z nastaniem upalnej pory, idzie z dymem dobytek ludzki, płoną wsie i miasteczka, a walka z groźnym żywiołem ognia, choć w ostatnich czasach poczyniła tak znaczne postępy, nie może uchronić ludności od trapiącej ją stale klęski pożarów. W ostatnich dniach padło znów pastwą płomieni kilka miasteczek, a między innemi Bursztyn, gdzie wybuchł groźny pożar w śródmieściu, w domu tuż naprzeciw kościoła, a rozszerzywszy się na sąsiednie domy, zniszczył mimo energicznej akcyi ratunkowej straży pożarnych z Rohatyna, Halicza i miasteczek okolicznych, 180 domów wraz z zabudowaniami gospodarczemi.

Równie groźny pożar szerzył się w Targówku pod Warszawą, gdzie pożar zniszczył hutę szklaną.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy illustracye z pożaru w Bursztynie i Targówku.



Z kroniki pożarów: Miasto Bursztyn po pożarze.



Polskie Lido: Na plaży wiślanej (z wycieczki oddziału wioślarskiego „Sokoła“ krakowskiego). (Fot. St. Puciński)



Z kroniki pożarów: Spalona huta szklana w Targówku pod Warszawą.

Widmo wojny europejskiej.

Na wiecznie gorejącym Bałkanie wybuchł nowy pożar, tym razem groźniejszy od poprzednich, bo bliższy nam terytoryalnie i politycznie. Pierwsza i druga wojna państw bałkańskich poruszyła tamtejsze ludy, ich ambicye i aspiracye, a hazard wojny i zmienne szczęście jej wahań odmiennie od czasów pokoju urabiają psychikę mas a nawet organizmów państwowych. Oportunizm stał się znakiem wytycznym prężnych państw słowiańskich Bałkanu, ryzykując wiele, mają nadzieję wiele zyskać. Najgorsza to ponoć polityka, ale w niej główną sprężyną są fakty, a tych biegu ani przewidzieć, ani pokierować nie może najgenialniejsza dyplomacya. Gorszą stronę wytwarzającej się tak sytuacyi są





Artylerya serbska. **Pierwsze strzały:** Kawalerya serbska.

komplikacye, jakie w obecnych czasach każdy krok polityki powoduje, najmniejsze przesunięcie na szachownicy politycznej Europy pociąga za sobą echa, dalekie od źródła. Splot interesów, celów, środków i „zbrojny pokój“ stworzyły obecnie ideę łączenia się państw dla obrony i łatwiejszego przeprowadzenia swych zamierzań. Tak też i obecna wojna Austryi z Serbią spowodowała przedewszystkiem w dyplomacyi europejskiej usiłowania jej lokalizacyi — czy da się to przeprowadzić, nie wiadomo, za każdym bowiem z przeciwników stoją sprzymierzeńcy, a znów konflikt między nimi spowodowałby wojnę europejską. Żyjemy w chwili historycznej, takiego zawikłania politycznego Europy nie było od roku 1870...

Jeszcze Ulster.

Spokojna rewolucya w Ulsterze staje się coraz mniej spokojną — przygotowanie do walki, uzbrojenie, musztry — wszystko to robi swoje. Ulsterczycy stają się coraz bardziej zaczepliwi, co doprowadza do starć, narazie mniej groźnych, z władzami rządowemi. Ostatnio Dublin był terenem krwawych już starć „unionistów“ z wojskiem i policyą. Zaczęło się od tego, że policya z pomocą wojska zatrzymała w Clawclarze oddział ochotniczy narodowców, którzy wieźli dostarczoną drogą kontrabandy broń. Ochotnicy stawili opór, wojsko strzelało, zabijając kilku ludzi i raniąc kilkudziesięciu. Zajście to wzburzyło ludność, która obecnie przyjmuje już jawnie groźną wobec wojska postawę.



Polskie Lido: Sielanka kąpielowa w Przemyślu. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Potworny mord w Częstochowie.

Potwornego mordu dokonano w tych dniach w Częstochowie. Niejaki Kajetan Doręgowski, z zawodu garbarz, zamordował swą żonę Janinę, poślu-



Potworny mord w Częstochowie: Morderca Kajetan Doręgowski ze swą małżonką Janiną, ofiarą zbrodni.

bioną zaledwie przed trzema miesiącami i poranił ciężko teścia i dwóch szwagrów, z których jeden zmarł skutkiem odniesionych ran.

Doręgowski dokonał ohydnej zbrodni mordu w bestyalski sposób, zadając swym ofiarom głębokie rany długim nożem obosiecznym. Po morderstwie wybiegł na ulicę i sam zgłosił się na policyę.

Ohydna ta zbrodnia wywołała w całem mieście wielkie poruszenie, tembardziej, że została spełnioną bez żadnego literalnie powodu.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 29.

Zadanie do przestawienia:

Pamięć, to święta człowieka skarbnica,
W niej świat miniony nietknięty spoczywa,
W niej żyją rysy kochanego lica
I głos znajomym dźwiękiem się odzywa
I teraźniejszej chwili błyskawica
W niej się rozświeci, gdy serca potrzebą
Wyrwana, przeszłe ma rozświecić niebo.

Zadanie do przestawienia: Dla ścieżki nie opuszczaj gościńca.

Zadanie do przestawienia: Kto się tylko bawi, niczem się nie wsławi.

Trójkąt magiczny:

S i e n k i e w i c z
I n o w r o c ł a w
E m i g r a c y a
N e n u f a r y
K o ź m i a n
I r k u c k
E g i p t
W a z a
I n n
C o
Z

Zadanie do przestawienia: Cudza żona gołębica, a swoja gorczyca.

Kwadrat magiczny:

C
Z a n
A l i n a
R o s k o p f
N o s o r o ż c e
I n t r o i t
E m a u s
C n i
K

Bilety wizytowe: Kamienicznik. Ajent handlowy. Elektrotechnik. Lekarz miejski.

Szarada: Mieczysław.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, G. Górski Petersburg, A. Biliński Lwów, K. Sroczyński Wilno, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, K. Ostrowski Sandomierz, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, J. Lewiński Piotrków, M. Obst Lwów, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, J. Roland Warszawa, J. Maciejowski Lwów, R. Pawłowski Zamość, R. Topolnicki Kamieniec, J. Pick Warszawa, H. Gliński Kołomyja, D. Zawadzki Jasło, D. Engelberg Rzeszów, J. Halski Janów, K. Giżyńska Kijów, J. Trepka Sandomierz, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, J. Broda Rzeszów, R. Kinalski Kolbuszowa, J. Scholz Przemyśl, H. Nowacka Przemyśl, S. Linderski Jaworów, J. Leszczyński Rozwadów, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, J. Kwaśniewski Przemyśl, T. Trąbczyński Przemyśl, D. Schwadron Kraków, W. Świrski Piotrków, S. Rogozińska Kijów, H. Wolański Dąbrowa, M. Kunz Czerniowce, T. Kępiński Łomża, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Kruszelnicki Lwów, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnów, H. Wiewiórowski Jasło, J. Wilczkiewicz Sanok, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, J. Pawłowski Lwów, S. Fiala Lwów, A. Gralewski Kraków, S. Blätterfeind Kołomyja, D. Rosenbaum Rzeszów, S. Karczmarski Poddębie, M. Krawecki Lwów, A. Bandrowski Częstochowa, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, H. Mróz Janów, B. Sługocki Lwów, H. Mazurkiewicz Lwów, J. Kalinowska Mińsk, J. Antosz Tarnów, H. Popiel Warszawa, R. Michalski Lwów, H. Kozicka Tarnów, J. Pytel Kolbuszowa, C. Wang Tarnobrzeg, H. Lindenbaum Jasło, M. Klappholz Rzeszów, M. Münz Stryj, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, H. Limanowski Warszawa, M. Cichocka Brzeżany, J. Opolski Tarnów, K. Radziński Lwów, J. Jabłoński Lwów, M. Zamojski Lublin, A. Siatka Kraków, J. Łopatkiewicz Rzeszów, D. Łopatyński Lwów, K. Ciesielski Warszawa, J. Wysoczański Jasło, A. Więckowska Warszawa, J. Cieśliński Rzeszów, D. Chmura Lwów, J. Lisowski Sanok, W. Potocka Tarnów, H. Piątek Podwołoczyska, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Armatys Kołomyja, R. Czarkowski Sokal, J. Strojek Tarnopol

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Charzewski, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Sprostowanie.

Autorem zamieszczonej w Nr. 29 naszego pisma „Szarady" jest p Cz. Kozłowski z Warszawy, a nie jak mylnie podano p. Z. Szymanek z Nowego Sącza.

Głosy publiczne.

Z teatru świetlnego „Uciecha". Na bieżący tydzień przygotowała „Uciecha" wyborowe dwa programy. Główną zaletą ich jest dużo humoru i lekkość, co podczas obecnej kanikuły niezawodnie spotka się z zadowoleniem i uznaniem gości i zwolenników tego sympatycznego teatru świetlnego.

Program od soboty dnia 25 do wtorku dnia 28 b. m. zawiera wspaniały dramat w 3 częściach p. t. „Krew przemawia"; śliczne zdjęcia, logicznie przeprowadzona akcya, skupiająca uwagę widza i zaciekawiająca ogromnie, momenty o prawdziwie dramatycznym nastroju, oto zalety tego wysoce interesującego obrazu. Z komedyi wchodzą w skład programu „Jej niewolnik", doskonała komedya w 2 częściach, pełna wesołych epizodów i przejść dwóch przyjaciół, ubiegających się o rękę pięknej wdówki milionerki; „Leon jest znudzony życiem", komedya z niezrównanym Leonem Perretem; „Traber — derby", doskonała komedya amerykańska; „Bunny posiadaczem automobilu", komedya z niezrównanym grubaskiem. Zdjęcie z natury i najnowszy Przegląd tygodniowy dopełniają programu.

Niemniej interesującym i zajmującym jest program od środy dnia 29 do piątku dnia 31 b. m. włącznie.

Na pierwszem miejscu wymienić należy doskonałą komedyę francuską, ze słynnej seryi komedyowej Gaumonta: „Broń Boże, nie adwokat!"; „Marzenia", prześliczny dramat z życia artysty, kaleki o wzruszającej treści stanowi przyjemne urozmaicenie programu, w skład którego wchodzą jeszcze humoreski: „Zamienione kufry", „Albert nie kicha; Zdjęcia z natury: „Z la Meye do Briancon" i „Nowy sposób odnawiania szyn kolejowych".

Przedstawienia ze względu na letnią porę zaczynają się w dnie powszednie o godz. 6 wieczór i trwają do 11. W niedzielę, jak zwykle o godz. 3, 5, 7 i 9.

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

11

W jednej chwili, jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, Erlooisy, jęcząc i wyjąc z przerażenia, odstąpili mnie. Unieśli się nad ziemię, próbując ucieczki i jak gigantyczna chmura zeschłych liści, gnana wiatrem w rozterce szalonej, krążyli wokoło podziemia, trzepiąc rozpaczliwie skrzydłami, nie mogąc znaleźć wyjścia przed napływem blasku, rażącego śmiertelnie ich oczy.

Wobec tej nagłej, nieprzewidzianej pomocy odzyskałem trochę sił i odwagi. Uzbroiwszy się w kawał żelaza, znalezionego na ziemi, szedłem ku temu zbawiennemu światłu, uderzając wściekle we wszystko, co mi się pod rękę nasunęło.

Okrzyk szalonej radości wydarł mi się z piersi, gdy w blasku pochodni poznałem moich poczciwych Marsianów, na których czele szła wierna Eeoys.

Pospieszyli za mną, aby mnie wbrew woli mojej wyratować, zdołali odkryć moje więzienie i przybyli, aby mnie z niego oswobodzić. Był to ze strony tych cichych, nieśmiałych istot czyn prawie bohaterski, czyn wielkiej odwagi i przywiązania.

Na widok mój wybuchł jeden przeciągły okrzyk radości i zadowolenia, ale nie mieliśmy ani jednej chwili do stracenia. Jeżeli światło, jedyny nasz sprzymierzeniec i obrońca, zagaśnie, byliśmy wszyscy zgubieni. Kilka pochodni zagasło już od wściekłych uderzeń skrzydeł Erlooisów.

Na mój rozkaz nagromadzono szybko w pośrodku podziemia stos gniazd, uwitych z liany i podpalono. Wzniósł się wspaniały, wysoki płomień, oświetlając najmniejszy zakątek sklepienia.

Ogień, symbol umysłu ujarzmiającego materye, tryumfował w całej pełni.

Jak olbrzymie ćmy nocne, zwabione zdradliwą jasnością, dziesiątki Erlooisów padały dobrowolnie na rozłożone ognisko z jękiem śmiertelnym. Ci, których nie zniszczyły płomienie, padali pod uzbrojoną ręką moich dzielnych Marsianów.

Widok był straszny, lecz i wspaniały zarazem. Przedstawiało to jakieś okropne sceny z Apokalypsy, oddane mistrzowskim pendzlem natchnionego artysty. Wysokie, bazaltowe kolumny, ozłocone płomieniami, dawały bajeczne tło tej widowni mordu.

W krwi, płynącej strugami, odbijał się blask groźnego pożaru, a z ziemi wznosił się tuman mgły rdzawej, obejmujący szatański taniec Erlooisów, wydających przeraźliwe okrzyki bólu i wściekłości.

Wkońcu musieliśmy opuścić podziemię. Cuchnący dym, bijący w nas ciemnemi falami, utrudniał oddech, a strugi płynącej krwi groziły zagaszeniem pożaru.

Wyszliśmy galeryą, nieznaną mi jeszcze i która, jak mi się zdawało, świeżo wykopaną została.

W tem miejscu Robert Darvel, znużony i osłabiony, przestał mówić, prosząc przyjaciół o odłożenie opowiadania na kilkanaście minut.

Wrażenie, wywarte na słuchaczach, było tak silne, że w milczeniu przyjęto jego propozycyę.

Miss Alberta, blada, wzruszona, ujęła tylko rękę narzeczonego i długą chwilę trzymała w rozpalonych swoich dłoniach, obejmując go spojrzeniem, pełnem podziwu i miłości.

Wypiwszy kilka kropel wina, podanego mu przez Cherifę, młody podróżnik rozpoczął dalsze opowiadanie.

Po zwycięstwie.

— Dokąd walczyłem z Erlooisami — mówił dalej Robert Darwel — podtrzymywała mnie jakaś egzaltacya gorączkowa, jak tych Bersekarsów z legend skandynawskich, którzy, przejęci świętym ogniem walki, walczyli do upadłego aż do ostatecznego zwycięstwa.

Lecz kiedy poczułem się zdrowym i bezpiecznym, zemdlałem pod siłą przebyłych wzruszeń i umęczenia. Omdlenie to pomimo usilnych starań, jakiemi mnie otoczyli Marsianie, trwało kilka godzin.

Gdy otworzyłem oczy, ujrzałem Eeoys, klęczącą nademną, wpatrzoną we mnie z niespokojną troskliwością, zwilżającą mi skronie wodą.

Przekonawszy się, że odzyskałem przytomność, wydała lekki okrzyk radości, a jej blade oczy, koloru niebieskiego fajansu, zabłysły żywo. Płakała z zadowolenia, ściskając mnie serdecznie. Niegdyś jej starania życzliwe i ciągła opieka, roztoczona nad moją osobą, niecierpliwiły mnie trochę, szczególniej od chwili, kiedy postanowiła mnie poślubić, ale przyznaję, że w tej chwili z przyjemnością ucałowałem jej pełne i różowe policzki.

— Tak nas przestraszyłeś — szepnęła z wyrzutem — myśleliśmy już, że cię te potwory pożarły. Ale, widzisz, nie opuściliśmy cię. Przyrzeknij mi, że na przyszłość będziesz ostrożniejszym.

— Przyrzekam ci — odpowiedziałem, wzruszony tem naiwnem przywiązaniem.

— Nie możesz już nadal zapuszczać się bez nas w te przeklęte południowe strony. Erlooisy są jeszcze jednem z mniejszych niebezpieczeństw, jakie tam spotkać można. Ale mam nadzieję, że zostałeś już na zawsze uleczony z tej ciekawości. Powróćmy do naszego kraju, gdzie będziesz żył spokojnie i szczęśliwie obok mnie.

Z pomiędzy tych wszystkich słów, które wymówiła szybko, jak gdyby bojąc się, abym jej nie przerwał, jedno tylko zwróciło moją uwagę.

— Mówisz, że Erlooisy są jednem z mniejszych niebezpieczeństw, spotykanych na południu. Wytłómacz mi, proszę cię, jakiego rodzaju są te inne?

— Nie wiem — wyszeptała niechętnie, jak gdyby żałując słów wypowiedzianych.

— Jakto? Nie wiesz?

— Wiem tylko, że to kraj straszny, z którego niegdyś przodkowie nasi wypędzeni zostali. Mój ojciec mówił, że nie radziłby nikomu tam się udać.

Nie potrafiłem nic więcej z niej wyciągnąć. Ale słowa te zastanowiły mnie. Biedna Eeyos traciła tylko czas napróżno, wysilając się na zbawienne rady. Chociaż wyczerpany byłem i silnie zraniony, zbudziło się we mnie nagle szalone pragnienie zbadanie tajemnicy, tej nadzwyczajnej planety i przysiągłem sobie doprowadzić je do skutku. Rozmyślania moje przerwane zostały nadejściem moich poczciwych Marsianów. Cisnęli się do mnie gromadnie, witając, całując po rękach i nogach jak zbawcę.

Byłem uwielbiany przez tych pierwotnych ludzi, jak „dobry król“ z bajek i legend starych.

To uwielbienie ich przebijało się w każdym ruchu, w każdem słowie.

Opatrzyli starannie rany otrzymane od Erlooisów liśćmi z pelargonii, które jak wiadomo, mają wybitne własności lecznicze. Zamienili suknię moją podartą, z piór czerwonych i zielonych, na inną jeszcze wspanialszą, i pośpiesznie przynieśli na drewnianych tacach płaty pieczonego mięsa i stos owoców różnorodnych.

Z wielkim apetytem pochłonąłem prawie wszystko w oczach moich Marsianów, przyglądających mi się z radością i uwielbieniem.

Eeyos krajała mięso w drobne kawałki, napominając mnie, abym gryzł dobrze i popijał wodą dla lepszego trawienia.

Znajdowaliśmy się nad brzegiem dużej, rwącej rzeki, o której już wspominałem. Z gór znajdujących się naprzeciw mnie, a w których było podziemne schronisko Erlooisów, wydobywały się jeszcze przez rozpadliny kłęby czarnego, gęstego dymu, przepełnionego wstrętną wonią spalonych ciał.

Nie wątpiłem ani na chwilę, że wszystkie potwory musiały wyginąć co do jednego.

Ale myliłem się. Ujrzałem nagle jednego Erlooisa skaczącego, potem drugiego, skaczącego przez ten sam otwór, z którego ja spuścić się chciałem na spadochronie. Ale nie polecieli daleko. Z szalonym wyciem, oślepieni blaskami słońca, głową na dół opadli w szumiące fale rzeki, która szybko pociągnęła ich z biegiem.

Miejsce, gdzie Marsianie rozbili namiot, było prześliczne.

Była to polanka, otoczona wysokiemi drzewami, położona nad samym brzegiem rzeki, posypanym różowym piaskiem. Liście drzew, tak, jak to zauważyłem we wszystkich strefach planety, które przebiegłem, nie miały prawie nigdzie zielonego koloru drzew ziemskich. Dawały całą gamę odcieni od najjaśniejszego do ciemnopomarańczowego. Do widoku tego w pierwszych dniach trudno mi było się przyzwyczaić.

Nie spotkałem tam brzóz naszych białych, dębów i leszczyny, tak obficie rosnącej w północnych krajach. Odmiany palm różnorodnych bananów tworzyły tu cudne gaje złote, miejscami o ciemniejszym odcieniu.

Był to wspaniały widok, jakby wyjęty z czarodziejskiej bajki.

Ziemia zaś pokryta była wysokim mchem fioletowym, tak wielkim i uginającym się pod stopami jak najbogatszy perski dywan puszysty. Wzdłuż ścieżek rosły rdzawe krzewy kaktusów o złotych kwiatach i nieznane mi wielkie, pełne kwiaty, podobne do naszych tulipanów.

Las ten zmuszał do myślenia o fantastycznych i kapryśnych pejzażach Ariosty, o Atlancie, o Florydzie, o wszystkich krainach marzeń, gdzie ongiś błąkała się samotna myśl poetów, zranionych realizmem ludzi i rzeczy. Czynił on wrażenie czegoś cudnie pięknego, lecz nieuchwytnego i niemateryalnego; odcienie jego były równocześnie zanadto przyćmione i zanadto bogate w przepyszny koloryt. drzewa rozrzucone z nieobliczoną jakąś fantazyą, a przecież pełne harmonii w liniach.

Patrząc na to złudne zjawisko, mimowoli było się przygotowanym, że lada chwila pierzchnie ono z pod zachwyconych oczów.

Nie chcąc się dłużej zatapiać w rozmyślaniach, zwróciłem się do siedzącej obok mnie Eeoysy, pragnąc usłyszeć od niej, na jaki sposób wyrwali się Marsianie, aby mnie wyratować z rąk Erlooisów.

Z radością opowiedziała mi cały przebieg wyprawy, dumna z tego bohaterskiego czynu swoich towarzyszów, u których brak odwagi i energii za dobrze znałem.

Było potrzeba coś rzeczywiście niezwykłego i wielkiego, aby ich wyrwać z tej apatyi i bierności, w której dotąd żyli.

— Gdy nas opuściłeś — mówiła — zapadłam na jakiś czas w stan zupełnego odrętwienia. Myślałam, że ciebie już nigdy nie ujrzę i płakałam długie godziny.

Pozostaliśmy długo przy ognisku, które rozpaliliśmy jeszcze przy tobie i zdawało nam się już teraz, że ogień ten stracił swoją siłę i nie będzie nas mógł obronić przed nieprzyjaciółmi.

Spoglądaliśmy na siebie, zatopieni w bezbrzeżnej rozpaczy.

Ja pierwsza otrząsnęłam się i nabrałam odwagi. Oznajmiłam im, że pójdę za tobą sama, jeżeli oni nie zechcą i że nie mogę cię tak opuścić. Musiałam użyć wiele trudu, zanim ich ostatecznie przekonałam. Byli zupełnie oszołomieni, noc ich przestraszała i przekonanie, że zostaną napadnięci przez Erlooisów. Wyruszenie na poszukiwania za tobą wydawało im się rzeczą zupełnie bezużyteczną.

Tłómaczyli się także twoim formalnym rozkazem, zabraniającym im ruszać się z miejsca.

Potrafiłam ich jednak przekonać, wywołując przed ich oczami obraz nieszczęść, jakie na nich spadną, jeżeli pozwolą zginąć swojemu dobroczyńcy i panu. Podsunęłam im nawet przypuszczenie, że wydany przez ciebie rozkaz był wydany może tylko w celu doświadczenia ich przywiązania.

Nareszcie zdecydowali się, uzbroili w pochodnie i ruszyliśmy w drogę.

Mogliśmy się udać z łatwością tą drogą, którą ty poszedłeś. Była to szeroka ścieżka piaszczysta, obsadzona z każdej strony wysokimi kaktusami; odciski twoich stóp na miękkim piasku były nam doskonałą wskazówką i broniły przed zmyleniem drogi. Przez dwie godziny szliśmy prędko, w ciągłej obawie, że pochodnie zagasnąć nam mogą.

Las był cichy i spokojny, nie ujrzeliśmy dotąd ani jednej żywej istoty.

Nagle usłyszeliśmy krzyki w pewnem oddaleniu. Znaliśmy je aż nadto dobrze i nie mogliśmy się mylić. To były krzyki Erlooisów.

Przyspieszyliśmy kroku, wkońcu zaczęliśmy biedz. Trochę dalej odnalazłam na ziemi ślady walki; podjęłam z ziemi kilka piór z twojej sukni. Teraz już byłam pewna, że ci się stało nieszczęście, że cię te potwory pochwyciły.

W tej samej chwili obłoki, zakrywające Phoibosa i Deimosa, rozpierzchły się, ukazując nam zębate góry, około których unosiły się tysiące Erlooisów, podobnych do stada nocnych, olbrzymich ptaków.

Moi towarzysze przystanęli, nie chcieli iść dalej. Zrozumieli, że znajdują się naprzeciw jednego ze schronisk tych potworów, do którego cię zawlekli.

Jednakże jedna rzecz uspokoiła mnie; jak wiesz, zwyczajem Erlooisów jest natychmiast na miejscu pożerać ofiary swoje. Skoro zadowolnili się tylko uwięzieniem twojem, życiu twojemu nic jeszcze nie mogło zagrażać.

Pomimo tego rozumowania przepędziłam resztę nocy w stanie wielkiego wzruszenia; towarzysze moi rozpalili olbrzymi ogień i przygotowali wielką ilość gałęzi do podsycania go. Wszyscy drżeli z przerażenia na myśl, że znajdują się tak blisko siedliska niebezpiecznych wrogów.

Erlooisy, których liczba zwiększała się z każdą chwilą, przesuwali się po niebie, jak czarne chmury, gnane wichurą, nie zwracając wcale na nas uwagi.

Radość, jaką im sprawiło twoje uwięzienie, kazała im zapomnieć, lub też lekceważyć naszą obecność.

Z prawdziwą ulgą ujrzeliśmy wszyscy nadejście dnia. Erlooisy, wystraszeni zwycięską jasnością, pierzchnęli spiesznie, tłocząc się, popychając, wydając niezadowolone mruczenia. Gdy już ostatni znikł w szczelinach gór, zwołaliśmy naradę. Wielu z moich towarzyszów, zniechęconych i wylęknionych, chciało odejść ku północy. Niektórzy nawet, chcąc upozorować swoje tchórzostwo, chcieli mnie przekonać, że ty należysz do wyższej rasy i tem samem potrafisz sobie sam najlepiej poradzić.

Jeszcze raz musiałam im wykazać całą ich podłość. Po długich naradach postanowiliśmy, że obóz pozostanie na miejscu, a byłam pewna, że z wysokości góry będziesz mógł dojrzeć słup dymu z naszego ogniska.

— — — — — — — — — — — — — — —

Przypomniałem sobie wówczas, że rzeczywiście dym ten ujrzałem przez otwór skały i że widok jego tak w porę wzbudził nadzieję moją i dodał odwagi.

— Dzień ten — mówiła dalej Eeoys — spędziliśmy na badaniu góry, ale okazała się tak stroma, że mowy być nie mogło o jej przebyciu.

Zniechęcenie i zła wola pomiędzy moimi wzrastała z każdą chwilą.

Starzec jednak jeden uczynił interesujące odkrycie. Dostrzegł, że w jednem miejscu twardy bazalt góry był naznaczony pokładami ziemnymi.

Poddał myśl, że może kopiąc w tej części, zdołamy sobie wyrobić przejście podziemne do jaskini Erlooisów, którzy, zaskoczeni podczas snu, przestraszeni widokiem ognia, nie będą mieli siły do obrony.

Na szczęście ta część podnóża góry była pokryta wysokimi krzakami. Mogliśmy więc rozpocząć naszą pracę, nie będąc widziani przez wrogów.

Wszyscy chętnie podzielili myśl starca, chociaż wykopanie podziemnego korytarza w takich warunkach przedstawiało wiele trudności i niebezpieczeństwa.

Przystąpiliśmy do pracy, zaniepokojeni tylko myślą, czy przybędziemy na czas, aby ciebie uwolnić. Wieczorem szczęście niezwykle nam posłużyło; pochwyciliśmy na zastawione sidła, olbrzymiego roomboa.

Kuna ta, lekko tylko raniona, mogła się stać doskonałym naszym współpracownikiem w tej robocie podziemnej. Mieliśmy tylko wiele trudności, aby ją zmusić do pomocy. Dzień cały straciliśmy na tych usiłowaniach; chciała rozpaczliwie wyrwać się z więzów, któreśmy na nią nałożyli i wydawała z piersi przeraźliwe ryki wściekłości. Aby doprowadzić do naszego celu, musieliśmy ją bić, pozbawić żywności. Ujarzmiliśmy ją dopiero zupełnie, strasząc gorejącymi węglami, które, pomimo jej ślepoty, wprawiały ją w paniczny strach.

Nareszcie ujrzeliśmy z zadowoleniem jak zabrała się do roboty z wściekłością. Pod jej twardymi pazurami kamienie i ziemia rozsypywały się jak puch lekki. Dwóch z moich towarzyszów, stojących za nią, powiększało otwór wykładając go płaskimi kamieniami i gałęziami.

W niespełna dwa dni dotarliśmy w ten sposób do schroniska Erlooisów i wiesz już, jak zdołaliśmy cię wyrwać z pazurów tych szatanów...

Eeoys zamilkła, spuszczając skromnie oczy, ale poznałem po wyrazie jej twarzy, jak dumną była z odniesionego zwycięstwa, które przypisywała tylko sobie.

Ja sam zresztą zadziwiony byłem jej energią i wytrwałością, jak również odwagą, jaką niespodziewanie okazali moi Marsianie. Nie poznawałem już w nich tych dzikich, ogłupiałych istot, jakie poznałem w nich kilka miesięcy temu i byłem szczerze wzruszony dowodami ich przywiązania. Postanowiłem sobie nie opuszczać ich więcej lekkomyślnie i uczynić, co tylko będzie w mojej mocy, aby ich podnieść moralnie i materyalnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DROGA i TANIA NAUKA. W gazecie *„Gwiazdka Cieszyńska“* Nr. 37 z d. 8 Maja, a w *„Gazecie Narodowej“* Nr. 101 z d. 14 Maja 191? r. i w wielu innych gazetach z 191? r., wydrukowano artykuł p. t. **„Droga i tania nauka“.** Żalił się we Lwowie krawiec p. Swistalski przed swoim stałym kundmanem p. Potulickim buralistą, że musi robić ogromne wydatki wynoszące przeszło 2.500 kor. rocznie na opłatę szkół i na korepetycye, nie licząc w to kosztów utrzymania 5-rga swoich dzieci. Buralista p. Pot. pocieszył majstra p. S. w ten sposób: Ja nie mogę się skarżyć na podobne koszta. Pomimo 2 klasowego wykształcenia mego w szkole realnej uzupełniłem dalszą moją edukcyę przez pilne i wytrwałe samokształcenie się. Szczególniej, zaś przyswoiwszy sobie gruntownie języki: niemiecki, angielski, francuski i rosyjski z pomocą **Samouczków Reussnera,** bez nauczyciela, zajmuję dziś, dzięki znajomości korespondencyi w tych językach, stosunkowo świetną posadę z roczną **płacą 5000 kor.** — Przytem dzieci moje przygotowałem gruntownie sam przed oddaniem ich do szkół, we wszystkich przedmiotach szkolnych, więc teraz nie potrzebuję opłacać korepetytorów. Przeciwnie, starsze dzieci moje nauczają młodsze pod moim dozorem i kierunkiem, a oprócz tego zajmują się także poza domem korepetycyami dobrze płatnemi, za które zarabiają razem więcej niż 2?00 koron rocznie, a to głównie dzięki znajomości języków nowożytnych, nabytej ze **Samouczków Reussnera,** za które wydatek kilku koron zwrócił mi się już dawno z lichwiarskim procentem. Albowiem, nauczywszy się z nich sam, nauczyłem potem moje dzieci nowożytnych języków i mogę jeszcze teraz otrzymać z powrotem wydatek zrobiony na **Samouczki,** które uważam za listy zastawne, przynoszące wysoką dywidendę. **Samouczki Reussnera** sprzedają wszystkie księgarnie. Główna sprzedaż w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie,** który wysyła I-szy zeszyt Samouczka po otrzymaniu marki pocztowej za 15 hal.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko polskiego historyka.

```
    — — □ — —
    — — □ — —
    — — □ — —
  — — — □ — — —
    — — □ — —
    — — □ — —
    — — □ — —
    — — □ — —
    — — □ — —
    — — □ — —
  — — — □ — — —
    — — □ — —
    — — □ — —
    — — □ — —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Zabawka. 2. Budynek gospodarski. 3. Władca wschodni. 4 Rodzaj materyi 5. Zwierzę. 6. Broń. 7. Owad. 8. Inaczej frant. 9 Skała. 10 Materya jedwabna. 11. Wódka. 12. Imię męskie. 13 List żelazny. 14 Inaczej słup

Przysłowiówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nowe przysłowie:

1) Kto chce kochać, cierpieć musi.
2) Kowal zawinił, a ślusarza powiesili.
3) Koniowi owies nie ciężki.
4) Kto się raz uparł, temu nie poradzi.
5) Każdy kupiec swój towar chwali.
6) Ksiądz swoje, a czart swoje.
7) Kto się na gorącem spiecze, ten na zimne dmucha.
8) Kto pije, ten długo żyje.
9) Kto na dobrem stoi, złego się nie boi.
10) Kradzione nie tuczy.
11) Kto zaraz daje, ten dwa razy daje.
12) Kto nie gra, nie straci
13) Kto się nie liczy, tego bieda ćwiczy
14) Kogo Bóg kocha, na tego krzyże zsyła

Łamigłówka literacka.

Ułożył Zehnwirth, Lwów.

Wynaleźć tytuły utworów poniżej wymienionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą tytuł jednej z nowości repertuaru operetkowego.

Zapolska?
Rodziewiczówna?
Prus?
Żeromski?
Sienkiewicz?
Zbierzchowski?
Srokowski?
Piątkowski?
Orzeszkowa?
Kisielewski?

Łamigłówka.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Podane wyrazy ustawić w ten sposób, aby ich drugie i czwarte litery, czytane z góry na dół, utworzyły pseudonim i tytuł utworu zmarłego polskiego powieściopisarza:

Alkad, Derna, Erato, hubka, iskierka, Kozma, małpa, opona, Płeys, Psyche, świat, zbieg.

Krzyż magiczny.

Ułożył W. M.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku poziomym i pionowym.

```
            a a c
            c c c
            c c c
            c e e
    e e e h h i i i i i i
    i i i i i i i k k k k
    k l l m m n n ń ń o o
            s s s
            s w w
            w w z
            z z z
```

Znaczenie wyrazów: 1. Powieściopisarz polski. 2. Nazwisko i pierwsza litera imienia polskiego poety. 3. Artysta malarz

Bilety wizytowe.

Ułożył Bol. Gałęzowski, Warszawa.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

HR. LEON IGN TOŻYNIEC

ANT. NESKI

H TARTECKI

A. TOLUSKI

Łamigłówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Pomiędzy podane samogłoski wstawić odpowiednie spółgłoski, aby powstały znane polskie przysłowia:

1) o e y, o e y.
2) o e a e, o e a e.
3) e a a a o a a.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Wł. St. Reymonta:* **Chłopi.** Powieść współczesna.

WYDAWNICTWA ROK XVI.

Nowości MUZYCZNE

MIESIĘCZNIK NUTOWY NA FORTEPIAN

Z DODATKIEM LITERACKIM

Na treść zeszytów składają się: utwory klasyczne, salonowe, wyjątki z oper, operetek, melodeklamacye, melodye ludowe, i tańce. W r. 1914, obok oryginalnych swojskich kompozycyi, będzie zamieszczony cykl Pieśni historycznych narodu polskiego, począwszy od IX wieku. W dodatku literackim aktualne wiadomości ze świata muzycznego.

Prenumerata rocznie **5 rub**, z przesyłką poczt. **7 rub.**, zagranicą **7 rub.**, półrocznie i kwartalnie w tymże stosunku. — Zeszyt okazowy **60 kop.**

Abonenci roczni otrzymują liczne premia bezpłatnie i za pół ceny.

Redaktor i wydawca LEON CHOJECKI.

ADRES REDAKCYI:
Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 6
Telefon Nr. 143-15.

KIMONO
Kraków, ul. Karmelicka L. 7

WYŁĄCZNY MAGAZYN i PRACOWNIA
Zamówienia uskutecznia do 4 godzin.

BLUZEK

Rok założenia 1900

Po drodze do Zakopanego

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie **ubiory męskie** doborowej jakości, **gotowe lub na miarę**

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Florvańska 7. — WE LWOWIE, Plac H licki 7.



Pierwszy Galic. Zoologiczny Zakład „Ornis".
założony w roku 1897 w Krakowie
odzn. 20 medalami rząd. i więcej jak 300 I-szemi nagrodami. Właść.: A. MUSIOŁEK Sklep: Kraków, ul. Sławkowska L. 3 (Hotel Saski). Hodowla: Dębniki willa własna. Menażerya: Dębniki, willa „Ornis", dla P. T. Publiczności otwarta. Zakład poleca po najt. cenach różne rasowe psy od najmniejszych karzełków do największych olbrzymów i drób, jaja do wylęgu. Harc. kanarki kolibry, gad. papugi, klatki, żywność itd. Wypycha tanio ptaki i zwierzęta. Bogato ilustrowane cenniki za nadesłaniem 5 hal. marki. 25-cio letnia fachowość.
Największy i jedyny polski zawodowy zakład tego rodzaju w całym kraju.

10.000 koron nagrody.



Zarost i włosy faktycznie wywołane w 8–14 dniach przez duński Nokah Balsam. Starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety używają tylko „Nokah-Balsam" na porost włosów, brwi i zarostu. — Nieszkodliwość gwarantowana. Jeżeli nie jest to prawdą płacimy

10.000 koron gotówką

ka demu i semu, pozbawionemu zarostu i o rzadkich włosach, który używał przez 7 tygodni „Nokah Balsam".

Pan H. Hjort pisze: Skutek jest tem szczególniejszy, że przed użyciem „Nokah-Balsamu", pomimo moich 27 lat nie miałem wcale zarostu. Z wdzięczności będę go wszędzie polecał i kreślę się z poważaniem.

W razie bezskuteczności zwrot pieniędzy.

„Każdej pani mogę polecić prawdziwy duński „Nokah Balsam" jako najprzyjemniejszy i niezawodny środek na porost włosów. Długi czas cierpiałam na silne wypadanie włosów, tak, że wiele nagich miejsc powstało pomiędzy włosami. Po użyciu jednak „Nokah Balsamu" już po 4 tygodniach zaczęły włosy róść i stały się gęste, ciężkie i bardzo piękne Frl. C. Holm.

1 pakiet „Nokah" kor. 10·—. Wysyłka w dyskr. opakowaniu. Za pobraniem pocztowym lub poprzedniem nadesł. należytości (marki pocztowe przyjmuje się także). Prosimy adresować:

Laborat. szpitala, Kopenhaga K. 1055, Postbox 95 (Dania).

Kartki prosimy markować po 10 hal., listy po 25 hal.

Prosimy powyższy inserat wyciąć

Pielęgnujcie wasze nogi!

Niema już więcej pocenia nóg i przykrego zapachu potu!
Kosmetyczny preparat

70 hal. PANAX-PASTA 70 hal.

usuwa pot i umożliwia wygodne chodzenie. Do nabycia we wszystkich aptekach, drogueryach i perfumeryach. Wprowadzona z pomyślnym skutkiem w c. k. armii austro węgierskiej i żandarmeryi.
Wysyłana do wszystkich części świata! Fabryka kosmetycznych i dyetetycznych preparatów.

Wiedeń XIV. Graum-nngasse 7. Fr. Vitek & Co. Praga II. Wassergasse 19

Do nabycia: we Lwowie: Piotr Mikolasch i Ska, A. V. Hubner, Mg. B. Hahn drog., Gródecka Kraków: L. Weindl ug Mg farm. J Hanak i Ska, Szewska 5 Przemyśl: Wojciechowski i Ska, J. Vondrávek, drog. Muszyński Jarosław: Feliks Wojciechowski. Rzeszów: E. Lind, S. Zgorek. Stryj: Droguerya Jana Porębskiego.



Pewny skutek lub zwrot pieniędzy. Przez lekarzy zaopiniowany jako znakomicie działający, tysięczne listy z podziękowaniami każdej chwili do przejrzenia. **Jędrne piękne biusta** otrzyma się przez użycie **Dra med. A. Rixa Busen-Cremu**. Urzęd. stwierdzony jako nieszkodliwy, dla każdego wieku szybko i **pewnie działający**. Do użycia zewnętrznie. Jedyny krem na rozwój biustu, który z powodu nadzwyczajnego działania wprowadzony został do aptek, nadw. droguery etc. Próbna doza K 3·—, wielka doza, wystarczająca dla skutku K 8·—. Wysyłka pod ścisłą dyskrecyą Dra **A. Rixa** kosm.-laborat. **Wiedeń IX, Bergg 17**|V. Składy w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15; Reim i Ska Rynek gł. 37. **We Lwowie** do nabycia: S. Rucker, apteka pod „Srebrnym orłem" ul. Krakowska 1. Perfumerya Sładowskiego. Bielsko: droguerya Polaczka, Kolejowa. W Cieszynie: Schw. Hunddrog. i Ankerdrog.

I-sza fabryka zegarków Hanns Konrad
c. k. nadw. dostawca w Brüx Nr. 621 (Czechy).



wysyła dobre, pewne zegarki po najtańszych cenach z 3 letnią gwarancyą.

Nikl. zegarek Anker syst. Roskopf	K	3·90
Szwaicarski system Roskopf	„	5·—
W stalowej schowce	„	6·20
Zegarek Anker z białego metalu (srebro Gloria)	„	4·80
o podwójnych kopertach	„	6
Prawdziwy srebrny zegarek	„	8·40
o podwójnych kopertach	„	12·50
Srebrny zegarek z łańcuszkiem i wisiork. K 12·—, niklowy	„	7·50
Prawdziwy srebrny łańcuszek	K	2·90, 3·80
niklowy łańcuszek	„	1·20, 1·40
Budzik	K	2·90
Okrągły zegar kuchenny	„	3·20
Zegar wahadłowy	„	9·—

Wysyłka za pobraniem pocztowem **Bez ryzyka!**
Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.
Katalog główny wysyła się **darmo i opłacony.**

YOHYDROL
znakomity środek przy przedwczesnem osłabieniu nerwowem
Rurki zawierające 10 pastylek po K 2·65
Wilhelm Ehrlich
Apteka Kraków ul. Krakowska

Broń i rowery
na raty, części składowe b. tanio. **Katalogi darmo**



F. Dušek, fabryka broni, rowerów i maszyn do szycia. **Opočno** przy kolei państwowej Nr. 214 (Czechy).

„KRYSZTAŁ" Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.
Podgórze, Słowackiego 27 — Telefon 3232
POLSKA FABRYKA WARSZAWSKICH CUKRÓW i CZEKOLADY
poleca Warszawskie karmelki pierwszorzędnej jakości wyrabiane syst. **Witolda Sobolewskiego.**
Właściciele fabryki: Wacław Wasilewski i Ska.

Karzełki nie istnieją tylko w bajce. Małe żwawe karzełki są pomocne każdej gospodyni, która używa Dra Oetkera proszku do pieczywa. Ma ona na każdym pakiecie Oetkera przepisy, jak sporządzać najlepsze leguminy, poświęcając kwadrans czasu tarciu i mieszaniu. W przeciągu dalszej pół godziny może najpiękniejsze ciasto i apetyczne leguminy na stół podać. Przy użyciu proszku do pieczywa Dra Oetkera nie potrzeba zostawiać ciasto dla rośnięcia. Każde ciasto tak zrobione jest natychmiast gotowe do pieczenia. Ciasto sporządzone według recept Dra Oetkera daje pulchne, apetyczne, smaczne leguminy, dlatego każda gospodyni używać powinna tylko proszku do pieczywa z marką ochr. „Jasna głowa", gdyż ten jest najlepszy.

ZAKŁAD
plisowania, gufrowania i obciąganie guzików.
Kraków, ul. Grodzka L. 60
Parter B

Polecenia godna podróż dla przyjemności i zdrowia.



Przez Fiume do Dalmacyi / „ Wenecyi i Ancony / „ Albanii i Grecyi

Zupełnie bezpieczna i przyjemna podróż morska na pierwszorzędnym z komfortem urządzonym parowcu.
Informacyi udziela Agencya międzynarodow. Towarzystwa wagonów sypialnych
Węgiersko-kroackie Tow. „Fiume" dla okrętów parowych.

Każdy posiadacz gramofonu grającego igłą otrzyma zupełnie

ZA DARMO



1 membranę Pathé grającą szafirem, jeżeli zakupi 8 płyt Pathé (29 cm. średnicy), po zykłej cenie K 4·50 za 1 sztukę, razem za K 36·—. Tę uniwersalną membranę można z łatwością zastosować do każdego gramofonu. Nie potrzeba zmieniać igły po przegraniu płyty, gdyż nasze membrany grają okrągłym trwałym szafirem. **Znakomite zalety płyt Pathé są powszechnie znane.** Tylko zapomocą naszego systemu można otrzymać prawdziwy żywy głos ludzki i wierną, głośną muzykę. Płyty Pathé są bardzo trwałe.



Olbrzymi wybór wspaniałych zdjęć na składzie. **Korzystajcie z wyjątkowej sposobności!**

S. Grudziński i T. Berger, Kraków, ul. Szewska 22/5, tel. 305



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany
Józefa Kuleszy
naprzeciw cmentarza w Krakowie
Telefon 1359.
posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru.
Podejmuje się wykonania grobowców w miejscu i na prowincyi.

Zmiana lokalu!

Handel delikatesów, restauracya i pokoje do śniadań pod firmą **Karol Wołkowski Kraków** obecnie **Rynek główny L. 15 (róg Grodzkiej). Telefon 366.**

Poleca z komfortem urządzony lokal, składający się z sali dużej, małej, garderoby i gabinetów na wesela, rauty, pikniki zebrania towarzyskie. Urządza całe zastawy od najtańszych do najwykwintniejszych tak we własnych lokalach, jak i w domach prywatnych.

Wydaje obiady z trzech dań po K 1·10

LALKI

Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie poleca w wielkim wyborze **C. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE ul. Grodzka 2**

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor. M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego.